

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 9 SIERPNI 1930 ROKU

NR. 32

TREŚĆ NUMERU: Oświata pozaszkolna wśród kobiet—*Wera Tropaczyńska*. Genjalna administratorka polska w XVIII wieku—*Jan Belcikowski*. Oblicze miłości (dok.)—*Halina Izdebska*. Poezje: „Chmura”—*Marja Pawlikowska*. Ameryka, a „Stary Kraj”—*M. Zatorowicz-Szczepańska*. Migawki zdrojowe—*Jadwiga Kiewnarska*. Ś. p. Wacław Szymanowski—*S. P. O.* Z teatrów—*S. P. O.* Z książek—*S. P. O.* Książki nadesłane do Redakcji. Kobieta w świecie i w domu. Konfitury na miodzie—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dołatek: „Nasza Mównica”. Dodatek powieściowy: „Kraska w jarzębinie”—*Zofja Reutt-Witkowska*. Arkusz wzorów.

OŚWIATA POZASZKOLNA WŚRÓD KOBIET

Idea wydobycia z indywidualności jak największej sumy wartości twórczych znajduje ujście w najprzeróżniejszych formach oświaty pozaszkolnej. Kamień, rzucony w ciche wody dusz ludzkich, zatoczył na powierzchni kręgi małe, większe, dziś już bardzo duże. Robi się wiele, robi się bardzo wiele, ale, oczywiście, robi się nie wszystko.

Pytanie: Jak też w konglomeracie spraw oświatowych przedstawia się historia oświaty kobiecej? Jakie jest zainteresowanie się temi sprawami społeczeństwa, jakie — zawodowych oświatowców? Jakie są poczynania, jaki stan faktyczny?

Inicjatywę oświaty dorosłych dają organizacje, jako wyraz potrzeby wyższego pokarmu duchowego u społeczeństwa; organizacje formalne i nieformalne, rejestrowane i luźne, grupkami około jednej osoby się skupiające. Wyrazem tej zbiorowej woli są najniższe komórki oświatowe: chóry, kursy, sekcje, świetlice.

To głos od wewnątrz — najważniejszy, bo istotny i zasadniczy moment oświaty. Czynniki drugi — to samorząd.

Teoretycznie rzecz biorąc, samorząd, jako wykładnik zbiorowej woli i wewnętrznych potrzeb miejscowego społeczeństwa, winien wziąć w swoje ręce całokształt prac swego terenu. To ideał, i nie tak daleki od zrealizowania, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że te i owe tereny (Zagłębie, Śląsk) w ten sposób kwestję lokalnych prac oświatowych rozwiązały.

Czynnik trzeci — etap na dziś końcowy — to Państwo. Do niego należy segregacja pojęć, utożsamianie kierunków, ustalanie form, badania laboratoryjne, wyprowadzanie wniosków teoretycznych z praktycznych danych.

Oto zgola telegraficzny skrót poczynania oświatowych. Wynika z niego, że trzy czynniki: społeczeństwo, samorząd i państwo — mają prawo ingerencji w sprawy jednostki, prawo budzenia jej do życia świadomego i przesyconego dorobkiem kultury.

Gdy się rozejrzeć po rozmaitych terenach Rzeczypospolitej, okazuje się, że człowiekiem, którym się owe trzy świetne czynniki opiekują, jest conajmniej w 80 proc. — mężczyzna.

Nie znaczy to, żeby druga część społeczeństwa — kobiety — nie wchodziły w skład najniższych komórek oświatowych, żeby nie było ich w chórach, w świetlicach, w teatrach ludowych, w organizacjach młodzieży.

Są — czasem w znakomitej większości, częściej w doskonałej mniejszości. Odnosi się wrażenie, że istota prac oświatowych — prac, starych w założeniu, nowych w praktyce — nie skryzlowała się o tyle, by mogła samorzutnie wyłonić z siebie zagadnienie wielkiej wagi: zagadnienie oświaty wśród kobiet. I myślę, że teraz, kiedy ci i owi ludzie zaczynają niejasno i niewyraźnie o tej oświacie mówić, kiedy raz i drugi organizuje się zjazdy kobiece (zwoływane nie tylko przez organizacje kobiece), kiedy na tych zjazdach woła się, że trzeba, trzeba, trzeba robić — myślę, że teraz właśnie należałoby zdać sobie sprawę z tego, *co i jak* robić trzeba.

W prywatnych rozmowach spotykałam się nieraz z zarzutami na temat nowoczesnych feministek, które chciałyby w każdej dziedzinie życia wprowadzać rozłam i selekcję męsko-kobiecą, podczas gdy w oświacie taka selekcja byłaby conajmniej niepożądana.

Przyznam się, że byłam niejednokrotnie zdumio-

na ignorancją owych głosów — ignorancją i naiwnością w stosunku do istotnych i zasadniczych zagadnień życia, w poglądach na kobietę i jej rolę w rozwoju społeczeństwa.

Mówi się: oświata dorosłych — to wyzwalenie wartości twórczych człowieka, to inspiracyjna robota w dostarczaniu człowiekowi środków do realizowania swego „ja“ w życiu. Stwierdzić muszę, że w stosunku do kobiety tej inspiratorskiej roboty naogół się nie prowadzi.

Wyzwalanie wartości twórczych w przeciętnym, kobiecym obiekcie leży odłogiem. Można by w tym miejscu mówić o potrzebie oświaty wśród kobiet, polemizować na temat tej potrzeby — mam jednak wrażenie, że i tak, bez dyskusji, zrozumieją mnie ci, którzy zechcą zrozumieć; wystarczy tylko stwierdzanie faktów i wnioski praktyczne.

Przedewszystkiem: rozumiejąc oświatę wśród kobiet, jako „wyzwalanie wartości twórczych“ — stwierdzam, że istotną wartością twórczą kobiety jest jej rola czynnika budującego: rodzinę, społeczeństwo, państwo. Stała kontrola nad tem, czy nadbudowa postąpiła naprzód, czy stanęła w miejscu, czy się nie cofnęła. Pilne i nieustanne baczenie, czy ktoś oto nie potrzebuje pomocy, czy niema gdzie wyrwy w domu, którego jest opiekunką i strażniczką. Samo pojęcie kobiety, jako czynnika twórczego, utożsamia się z pojęciem pedagoga-wychowawcy nie tylko swoich dzieci, ale wychowawcy-inspiratora całej rodziny, otoczenia, społeczeństwa. A przecież pedagoga trzeba wychować i wprowadzić wychowawcę z dziedziny wyłącznie intuicyjnej w dziedzinę świadomą merytorycznych zagadnień wychowawczych.

Kto to ma zrobić? do kogo to należy?

Bezpośrednia obserwacja życia przeciętnej kobiety daje pole do całego szeregu zarzutów, związanych z potrzebą oświaty. A więc: brak obywatelskiego uświadomienia, nieumiejętność organizacji gospodarstwa domowego, brak zdolności współżycia z ludźmi, kompletna ignorancja w dziedzinie wychowania dzieci, i jeszcze, i jeszcze, i jeszcze... Jest to cały, w ogromie swoim potworny, konglomerat zagadnień — negatywów.

Olbrzymie koło, które, obracając się, miele miliony istnień kobiecych na karmę czarnej, przeciętnej i nieciekawej, bo codziennej, niedoli. Jeśli kto oderwie się odeń siłą odśrodkową — będzie to napewno jednostka nieprzeciętna, indywidualność silna.

Jesteśmy świadkami potwornej niewspółmierności haseł i faktów; z jednej strony frazesy: zadań kobiecych, roli kobiety w rozwoju społeczeństwa, jej posłannictwa w wychowaniu i urobieniu mężczyzny, jej niemal dziejowego zadania w kształtowaniu państwa i t. d. i t. d.; z drugiej — stan faktyczny: nieuctwo, kołtuństwo, nędza moralna i materialna, brud, choroby, samopas chodzące dzieci, młode dziewczęta, rosnące bez kierunku i wyrabiania tężyzny wewnętrznej.

Są to tylko jednak pozory. Z jednej strony pozory frazesów, z drugiej — pozory ślepej ulicy bez wyjścia.

Jest czynnik, który przy racjonalnem zastosowaniu może stworzyć pomost między ideałami, a rzeczywistością. Czynnikiem ten — to praca oświatowa, praca, prowadzona przez organizacje kobiece, przez naczelne jednostki kobiece, dzięki właściwej im znajomości wewnętrznego życia siostry-kobiety.

Widzę dziś dwie organizacje kobiece, prowadzące — w zależności od terenu — z większym lub mniejszym natężeniem robotę oświatową.

Starsza wiekiem — to Koło Gospodyń wiejskich; młodsza — Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet.

Formy prac pierwszej — wybitnie ekstensywne, szeroko się rozlewające i potężne liczebnością mas. Formy drugiej, programowo idące w kierunku nowoczesnej intensywności w pracy oświatowej, sięgające w głąb, w niedolę najczarniejszą, przeprowadzające selekcje działów roboczych, rozbijające zagadnienie prac wśród kobiet na grupy, zgodnie ze specjalizacją i zainteresowaniami kierowniczek poszczególnych referatów.

Z punktu widzenia oświatowca przechylałabym się do form drugiej kategorii, jako racjonalniejszych i godzących w sedno rzeczy.

Zachodzi tylko obawa, czy psychologicznie ujęty program nie jest zbyt głęboki dla sił wykonawczych. Stąd wynika konieczność grupowania jednostek wybitnych pod względem moralnym i intelektualnym. Nie ilość, ale jakość stanowi. Myślę, że jednostki takie więcej wypromieniowałyby z siebie wartości obiektywne, niż imponująca liczba członków, niezbyt dobrze pojmujących treść programu.

To są uwagi na marginesie, łączące rozważania moje ze sprawą, o której chcę teraz mówić, a mianowicie ze sprawą pracowniczek oświatowych.

Specjalizacja współczesna wymaga skonkretyzowania pojęcia pracowniczki oświatowej. Jeżeli wogóle o pracowniku oświatowym mówimy, że musi to być człowiek o nieprzeciętnych wartościach moralnych, o fachowym opanowaniu techniki pracy, o solidnej znajomości psychiki ludzkiej — to tembardziej wszystkie te wymagania stosować musimy do pracownika, wnoszącego oświatę w rzesze kobiece. Na pierwszym miejscu postawiłabym dwa momenty: znajomość psychiki wogóle, kobiecej w szczególności; powtóre — zdolność orjentowania się w sposobach, formach i metodach, jakimi już dziś oświata pozaszkolna rozporządza.

Ale ażeby to minimum posiadać, trzeba je zdobyć. Wysuwa się kwestja kształcenia pracowniczek oświatowych, kształcenia rzetelnego, opartego na badaniach introspektywnych, obejmujących programowo całokształt zagadnień z zakresu oświaty kobiet. Myślę, że na najbliższy dystans praca taka powinna wychodzić z dwu odłamów społeczności kobiecej: z organizacyj zbiorowych i awangardy nauczycielek,

stykającej się bezpośrednio z wychowaniem społeczeństwa.

Do zadań organizacyj należałoby tworzenie form dokształcania—kursów; do nauczycielek—praca bezpośrednia, wnioski praktyczne, robota inspiratorska w terenie.

Praca ta musi być szeroka, pogłębiona i do sedna duszy sięgająca. Nie może być mowy o narzucaniu wartości, nie może być mowy o działaniu z zewnątrz. Praca oświatowa wśród kobiet musi wychodzić od samych kobiet — w nich się poczynać i w ich społeczności działać, promieniując na otoczenie.

Mamy do czynienia ze zjawiskiem zdrowego odruchu. Jeżeli stanie się on świadomym zbiorowym

czynem, mamy prawo oczekiwać dalszych etapów jego normalnej ewolucji.

Na pierwszym planie stoi zainteresowanie tą sprawą samorządu i Państwa. I znów — inicjatywa do nas należy. Pokażmy konkretne, realne wyniki pracy. Pokażmy pracowniczki, zawodowo wykształcone. Wtedy żądajmy — nie subsydjów doraźnych, nie zapomóg na tę, czy inną akcję, ale wstawienia do budżetów samorządowych pozycji, wyraźnie przeznaczonych na pracę oświatową wśród kobiet.

Trzeba wzbudzić czynne zainteresowanie się Państwa tą sprawą narówni z ogólnym pojęciem oświaty dorosłych.

Inicjatywa należy do nas.

Wera Tropaczyńska.

JAN BÉLCIKOWSKI.

GENJALNA ADMINISTRATORKA POLSKA W XVIII WIEKU

(Księżna Anna Jabłonowska).

Ostatnia ćwierć wieku XVIII-go (po pierwszym rozbiore Polski) stanowi okres, którybyśmy nazwać mogli Wiekiem Złotym polskiej myśli i sztuki administracyjnej.

Walka z nieładem w dziedzinie gospodarczej nie ustępowała bynajmniej kroku walce z nierządem w sferach politycznych.

Ten okres właśnie dostarczał dość rzadkich przykładów, kiedy to interes ogólnonarodowy brał przewagę nad interesem klasowym i kiedy, wbrew materialnym interesom i zadawnionym niechęciom, robiono znaczne ustępstwa, widząc ich konieczność.

A źródłem owej konieczności były w pierwszym rzędzie dwa nakazy ówczesnego Dobra Powszechnego: gotowania się do wojny z trzema rozbiorami i utrzymania spokoju w kraju wobec agitacji potencji ościennych, mającej na celu wzniecenie u nas zamieszania wewnętrznego. A więc: tworzenie dobrych żołnierzy i dobrych obywateli kraju, ale nie kazaniem, i nie strachem, i nawet nie przez szkoły, ale przez dobre gospodarstwa włościańskie.

Tak, aby „konie były mocne, woły zdrowe, obory liczne, krowy mleczne, pokarmu obfitość, odzieży dostatek, zdrowie w czerstwości ochraniające, majątek w całości zabezpieczony od zdzierstwa rozrzutnych, kraj ozdobiony radością i weselem, zaludniony częstymi ślubami i wzmocniony gospodarną ludnością, która przy obciążeniu krzewić się nie może“.

W tej to atmosferze ideowo-militarno-gospodarczej, w tem prześciganiu się wzajemnym różnych ziem i województw o pobicie rekordu gospodarczego (niby

współczesny regionalizm) — zrodził się niepospolity, wprost fenomenalny, kobiecy genjusz administracyjny, w osobie księżny Anny Jabłonowskiej, wojewodziny braclawskiej.

Ur. w r. 1727, córka Kazimierza Sapiehy, generała artylerji litewskiej, przeszła do potomności, jako przedewszystkiem autorka sławnych swoich 8 tomików „Ustaw powszechnych dla dóbr moich rządów“.

Pisano o niej niewiele. Pisał o niej Chomętowski w swoim studjum „Stanowisko praktyczne naszych kobiet“, pisał F. Sobieszczański w Kalendarzu Ilustrowanym Jana Jaworskiego z roku 1877.

A ze znamienitych współczesnych księżny uczył ją twórca Monachomachji, biskup warmiński, Ignacy Krasicki, wierszykiem:

„Wszystkim chłopom, mieszczanom tego losu życzę,
Jaki mają Wysokie, Kock i Siemiatycze“.

Ostatnio wspomniał o niej p. Tylicki, w artykule „Gazety Gospodarskiej“, p. t. „Dawne wzory“ (Nr. 6-ty 10.II. 1929). Zalicza on w nim autorkę wymienionych Ustaw, ks. A. Jabłonowską, do osób, wyróżniających się wyższością ducha, myśli i poczucia obywatelskiego, zaś same Ustawy nazywa dziełem wspaniałem, godnym zalecenia i w czasach obecnych; dziełem, wprowadzającym w życie dwa pierwiastki zasadnicze rządzenia: poczucie obywatelskie i przymus prawno-administracyjny.

Nas ponadto uderza w tych Ustawach ta wprost imponująca, fenomenalna zdolność ich twórczyni prze-

widywania każdego, najmniejszego szczegółu, drobiazgu gospodarczego; talent, mówiąc językiem Fayol'a¹⁾, powoływania do życia podwójnego organizmu przedsiębiorstwa: materialnego i socjalnego (a również i moralnego, czego znów Fayol nie podkreśla należyście); dar niezwykle rozkazywania, uruchomienia personelu; koordynowania, harmonizowania wszystkich czynności i wysiłków; wreszcie — kontrolowania, t. j. czuwania nad tem, aby wszystko odbywało się zgodnie z ustalonymi przepisami i wydanymi rozkazami.

Jednym słowem, obecność naturalna tych wszystkich momentów administrowania, które, jako coś zupełnie nowo odkrytego, właśnie z inicjatywy Fayol'a, poczęła w czasie powojennym stosować administracja francuska.

Dla przykładu zacytujemy kilka takich sposobów ujęcia spraw gospodarczych i podejścia do nich, mogących choć w części scharakteryzować bieg myśli tej genialnej administratorki, pod której wskazaniem nie odmówiliby nieraz podpisu ani prof. Chatelier, autor Filozofji Systemu Taylora, ani sam wielki Taylor, lub Emerson i inni organizatorzy.

Oto np. urywek z rozdziału II-go, p. t. „Powinności Administratorów względem Rolnictwa“.

„Zły jest każdy rządca — pisze księżna w swoich pouczeniach — który tego, co dysponuje, gruntownej znajomości nie ma... Dotąd, po większej części gospodarstwa naszego sposoby stosowaliśmy do generalnej reguły i powszechnego dotąd w Kraju zwyczaju, jedni drugich imitując... Województwami dzieliliśmy w tej mierze umiejętność naszą i zapytany gospodarz któren: za co (dlaczego) tak robi? innej odpowiedzi nie miał, tylko: że okolicznie takiej roboty jest zwyczaj“ (str. 40, t. I-szy).

Dziwnym zbiegiem okoliczności, po stu kilkudziesięciu latach, od tego samego nastawienia myślowego rozpoczyna właściwie i taylorizm: mianowicie od badania i od zastanawiania się nad przyczyną właściwą tych lub innych dobrych i złych stron produkcji. Każdy pracownik, od najmniejszego do największego, powinien przede wszystkim uświadomić sobie: dlaczego on robi tak, a nie inaczej? „Obojętność wobec prawa przyczynowości — stwierdza komentator Taylor'a, prof. Chatelier — jest nieszczęściem“.

I owa zgodność w punktach wyjścia myśli administracyjnej tak różnych epok nie jest też sprawą przypadku. Wszak jest wielce prawdopodobne, że ten sam mistrz myślenia przyświecał księżnie, co i Taylorowi, a mianowicie: poważny twórca filozofii nowożytnej, Kartezjusz.

A teraz wróćmy znów do tych, pełnych głębi życiowej tomików księżny.

„Ta powszechność reguły — czytamy dalej — ściśle biorąc, do żadnej rzeczy przydatna być człowiekowi nie powinna, bo każdy stworzony z przymio-

tami wszystkimi duszy, każda umie w nim myśleć i każda ma sposobność uwagi nad każdą życia swego akcją. Imitować więc drugich tak ślepo, żeby własnej swojej nigdy nie dać refleksji, byłoby to upadłać najszlachetniejszy, w nas będący, duszy przymiot“.

A oto głos Fayol'a: „I najmniejsza obserwacja, byle dobrze czyniona, ma swą wartość, a tembardziej, skoro ilość możliwych obserwatorów jest nieograniczona“ (każdy ma sposobność uwagi nad życia swego akcją).

Ale pocóż tak daleko? Pójdźmy na wykłady do Instytutu Naukowej Organizacji, a tam to samo zachęcanie każdego do własnej inicjatywy, *opartej na obserwacji*, usłyszymy od szan. prelegentów (wojewody Twardo, insp. Tomaszewicza i innych).

W rozdziale III-cim: „Powinności Administratorów względem włóścian“ spotykamy się już z wyraźną zapowiedzią współczesnej kalkulacji kosztów własnych, opartej najpierw na określeniu czasu, wymaganego przez daną robotę.

„... Aby roboty pańszczyzniane — poleca księżna — były wykonywane nietylko co do tych robót istoty, *ale też tak do czasu*, jak i sposobu przepisanego, zachowując ją najściślej i stosując ją we wszystkim“.

Zamiast, co prawda, dzisiejszych kart wykonawczych i instrukcyjnych, poleca księżna wydawać bilety, na których wielkość każdej roboty na każdy dzień jest ustanowiona z uwzględnieniem właściwości gruntów i terenów, oraz pór roku (dzień krótszy, dzień dłuższy), a wszystko przewidziane z niezwykłą, z najdokładniejszą, matematyczną znajomością każdej powinności i czynności: co do dojenia krów, i co do włókna, i co do konopi, i co do konserwacji drobiu, bażantów.. a potem w t. zw. obecnie biurach fabrykacji (w owe czasy biuro np. pisarza propinacji) wszędzie ta zupełnie współczesna myśl administracyjna: przewidująca, organizująca, rozkazująca, koordynująca, a także kontrolująca (jak zaleca np. Emerson), kontrolująca codziennie, owo: niezawodne, natychmiastowe, dokładne i nieustanne sprawozdanie (Zasada 6-ta Wydajności).

Na zakończenie słów parę o naturze rozkazodawstwa, stosowanego przez księżnę. Oto—każde z poleceń swoich stara się księżna umotywić i wzmocnić nie morałami, ale jakimś argumentem interesu osobistego, gminnego, powszechnego, aby każdy zrozumiał, że, wykonując ten rozkaz, spowoduje dobro i korzyść dla siebie i dla sąsiadów.

Wogóle te wspaniałe Tomiki ks. Jabłonowskiej zasługują w zupełności na ich ponowne wydanie i wprowadzenie do każdej biblioteki gospodarczej, jako niedościgniony dotychczas wzór polskiej sztuki administracyjnej.

¹⁾ Twórca nowoczesnej nauki o administracji we Francji.

HALINA IZDEBSKA

OBLICZE MIŁOŚCI

III.

2)

Zmęczona była cierpieniem, jakie dawała; i rada była — mimo niewątpliwą pustkę, jaką odczuła — kiedy malarz odjechał pewnego dnia, zniknął z kolei w tem Nieznanem, które zaczynało się za jej wioską i które pochłaniało ich wszystkich. Pokoik jego zajął stary profesor, z którym natychmiast zaprzyjaźniła się dziewczyna.

Mówił wobec niej godzinami, nie wahając się operować terminami naukowymi lub pogrążyć się w rozumowania oderwane: oświadczyła mu przecież kiedyś, że „przepada za słuchaniem rozmów, których nie rozumie”. Przechadzali się razem po zielonych dolinach górskich; on, wsparty na lasce i spoglądający na ziemię; ona, uważna na wszystko, co się działo wokół: na ciepło promieni słonecznych, zawsze jednakowe, na narodziny zmierzchu, dostrzegalne w tonach i kształtach przedmiotów; na dźwięk własnego głosu, kiedy, nie mogąc wytrzymać dłużej, rzucała, „dla oczyszczenia płuc”, krzyk ogromny, długo powtarzany przez echa górskie.

Siedzieli pewnego razu, oparci plecami o skałę, spoglądając na dolinę w obramowaniu gór, pod wysokim zielonawym niebem.

— Niech mi pan powie — rozległ się wahający trochę głos dziewczęcia. — Mam już 18 lat; wszystkie przyjaciółki moje kochają, albo kochały; dlaczego ja nikogo jakoś pokochać nie mogę?

— Oczywiście, kiedy się ma już 18 lat... — łagodnie szydzić zaczął starzec; ale Juanita nie zwróciła na to uwagi i głos jej, wśród zaczynającego blednąć dnia, stał się ciepły i jakby przyćmiony.

— Jeżeli mi się zdarza być trochę zakochaną, to... kiedy... jego... niema; aż on przychodzi i zawsze jest trochę inny, niż myślałam, i... znowu jest nie to... Zawsze mi się zdaje, że wszystko, co przychodzi, zdarza się już po raz ostatni. Dlatego smutno mi zwykle, kiedy mi kto mówi, że mnie kocha: lubię to słyszeć, ale zawsze mi się zdaje, że już tego więcej nie usłyszę, albo, że to będzie już nie to samo...

Ukazały się wielkie, powolne cielska krów, za niemi zaś bosa opalona dziewczynka, która przeszła, nie przestając spoglądać kolejno na starca i Juanitę. Natychmiast prawie potem skierowała się w tę samą stronę ohydna, zgarbiona starucha, z workiem na plecach, zbierająca coś tam i ówdzie z ziemi. Naraz odwróciła się do Juanity i zaskrzeczała głosem, który zdawał się łamać na każdej sylabie i rozpoczynać nanowo w innej nieco nucie:

— No, co, ślicznotko, jeszcze nie dzisiaj? To nie, córko, przyjdiesz jeszcze, przyjdiesz jeszcze do mnie!

— Kto to taki? — zapytał profesor, który spoglądał na nią z zaciekawieniem.

Dziewczę nie od razu odpowiedziało.

— Nazywa się Juanita, jak ja. I jest też do mnie trochę podobna. O, nie ma pan czego się śmiać, sama wiem, że podobna. Mówią, że to... czarownica.

— Przypuszczam raczej, że jest trochę nienormalna. Widziałem, że podniosła z ziemi liść — ze ślimakiem, jeżeli się nie mylę: pocóż jej to może być potrzebne? Ale co to ona ci mówiła?

Juanita zaczerwieniła się.

— Powiedziała mi raz: „Przynies mi coś pięknego, a pokażę ci oblicze miłości”. To było tego samego dnia, kiedy mi jeden młody człowiek powiedział w gniewie: „chciałbym, żebyś i ty poznała kiedyś oblicze miłości!”. Nie, ja wierzę, że ona jest czarownicą, niech Matka Boska ma nas w Swojej opiece!

Podniosła się, otrzepując spódnicę z przyczepionych do niej źdźbeł trawy. Profesor powstał również.

Zachodziło słońce i niebo gorzało tak czarująco, że się stawało jakąś przeolbrzymią, niesłychaną nowiną! Czemże jest dusza dnia, aby konać takim cudem codziennym, objatą tak czystą, tak bogatą, tak niewypowiedzianie żyjącą?

Juanita długo patrzyła na to jezioro olśniewających blasków, od których twarz jej stała się różową, potem wyciągnęła rękę do profesora:

— No, ja już muszę wracać.

Przeciagnęła się całym swym młodem, gibkim ciałem i westchnęła:

— Chciałoby się mieć skrzydła i móc dotknąć palcem tych pięknych kolorów. Muszą być ciepłe i miękkie... Ach, jaka jabym mogła być szczęśliwa, gdybym nie miała tego niemądrego pragnienia miłości!

Profesor zatrzymał chwilę w rękach ciepłą dłoń dziewczyny. Z nagłym zachwytem popatrzał na brwi jej, boleśnie rozpostarte, niby skrzydła.

— Dziecko, to pragnienie, to twój sposób żądania od życia więcej, niż ci ono daje. Wierz mi, zachowaj możliwie długo to pragnienie kochania!

Wypuścił jej rękę.

— Czy pomyślałaś, kiedy właściwie zaczynają człowieka uważać za starca? Oto wtedy, kiedy się wyrzeka dalszych oczekiwań. Dnie wtedy mogą zmieniać porządek, a on nie zauważy tego; przebiera je, jak różaniec... niepotrzebny...

Zakończył, jakby dla siebie, i odszedł, wsparty na lasce, bardziej zgarbiony, niż zwykle.

IV.

Juanita nie mogła zasnąć. Myśli niejasne, fragmenty rozmowy wieczornej błąkały się w jej rozpalonej głowie, w której rozbrzmiewało echem czarne szlochanie nocy. Wstała wreszcie, ubrała się w ciemnościach, starając się nie czynić najłżejszego hałasu, aby nie zbudzić rodziców, śpiących w izbie sąsiedniej; potem wyslizgnęła się z pokoju, cicho otworzyła furtkę, głosem stłumionym zawołała na psa, który podszedł do niej, węsząc i słabo kręcąc ogonem, kazała mu iść spać i wyszła.

Noc była ciepła, księżyc oświetlał szerokie przestrzenie, stwarzając krainy widmowe, bardziej jeszcze niepewne, niż gdyby ciemność była zupełna. Szmer ledwo uchwytny — głos świerszcza, daleki szum morza, wiatr, ślizgający się po gałęziach i głos inny jeszcze, który się zdawał lekkim huczeniem padającego mroku — składały się na wielką ciszę nocną.

Dziewczyna traciła głowę od wszystkiego, co zdawało się żyć wśród tego niejasnego zgonu wszechrzeczy. Możliwe stało się światem bez granic. Każde spotykane drzewo, księżycem pijane, było, niby dramat niepojęty. Zdawało się jej, że droga jej nigdy się nie skończy, że będzie ona tak szła wśród nocy przez życie całe...

Nareszcie chata czarownicy.

Juanita przestąpiła próg, byle prędzej, byle nie wahać się więcej — i wszystkie gwiazdy, i wszystkie błękitne oddechy tej nocy wiosennej zgasły natychmiast.

Dziewczyna wyciągnęła w półmroku izby drżące trochę dłonie:

— Przyniosłam wam najpiękniejsze moje koraliki — serce jej biło, jak szalone. — Przyszłam zobaczyć (przrzekliście mi)... oblicze miłości.

Milczenie.

Juanita zaczerpnęła oddechu. Twarz jej wykrzywił nagły skurcz. Uczuła, że chwila jeszcze tego

milczenia — i coś obłąkanego nastąpi: będzie się targała po podłodze, napelni wioskę całą krzykiem, podstępującym do gardła.

Teraz stara znalazła się przed nią.

I nagle dziewczyna doznała wrażenia, że się budzi: wspomniła niezauważone przedtem szczegóły drogi do tej chaty, zdała sobie sprawę, że się znajduje w nisko sklepionej izbie, słabo oświetlonej jedynym ogarkiem; zauważyła, że wszystko w twarzy czarownicy zdaje się ciążyć ku dołowi: linje jej nosa i ust, kierunek jej zmarszczek, ciężkie powieki. Skrzyjący głos staruchy zabolął ją, jak dotknięcie.

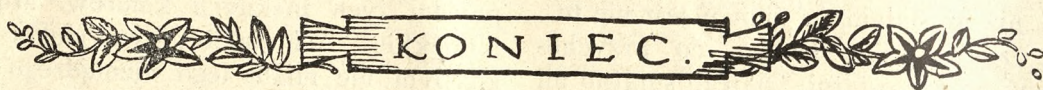
— Daj mi też złoty medaljonik, który nosisz na szyi. Wszystko jedno, ślicznotko, tobie on więcej potrzebny nie będzie!

Oczy dziewczyny spotkały się z oczami drugiej Juanity. W przeciągu sekundy, przed ostatecznym chwytem świadomości, zdała się rozumieć złowrogi, ciemny sens tych słów. Potem, posłuszna, zerwała medaljonik i podała go starej.

Czarownica przeszła do izby sąsiedniej. Wkrótce wróciła, niosąc miednicę, pełną wody. Postawiła ją na stołku, zapaliła inną świecę i przysunęła ją bliżej ku dziewczynie. Potworny cień oderwał się od wiedzy i popęzł po niskich belkach powały, które załamały go dziwnie.

— Rozumiesz, masz patrzeć w wodę. Ale nie krzycz, pamiętaj, cokolwiekbyś zobaczyła.

Nie zwracając uwagi na nowe zniknięcie starej, Juanita zaczęła patrzeć w wodę. W tym ostatecznym punkcie swego przeznaczenia wydawała się istotnie podobną do swej złowieszczej gospodyni. Przez długą chwilę nie widziała nic, prócz drżącego płomienia świecy, odbitej w wodzie. Jak nigdy jeszcze, czuła całe swe młode istnienie olbrzymio wyciągnięte ku Życiu... Czuła jego błyskawiczne przemijanie... aż po ów kraniec ostatni, z poza którego spoziera — oblicze Śmierci...



MARJA PAWLIKOWSKA

CHMURA

*W turkusowej sadzarce
wśród chmur,
jestem piękna, foremna
wodnica,
— lecz tak zmienna,
jak samo niebo:
twórczym wiatrem
rzeźbiona nicość...*

*Potwornieję,
pięć mi ciężka rośnie,
cudne formy
drażnią mi się i macą,
i rozwiemam się —
tęsknie, żałośnie,
w siwą chmurę,
o formie marząca...*

M. ZNATOWICZ-SZCZEPAŃSKA.

AMERYKA, A „STARY KRAJ”

Stosunek nas, Polaków, do Ameryki musi być inny, niż do jakiegokolwiek obcego kraju, a to z tego powodu, że mamy w Ameryce drugą Polskę. Emigracja nasza tutaj nie tylko liczebnie stanowi cały naród — Amerykanów polskiego pochodzenia — ale ma już za sobą parowiekową tradycję amerykańską. Z drugiej strony, mocno związana wewnątrznie wierzeniami, tradycją, obyczajem własnym, musi być traktowana, jako grupa odrębna, bliższa duchowo dawnej utraconej Ojczyźnie, niż obecnemu swemu środowisku. W dobie niewoli ta bliskość duchowa bezpośrednio jeszcze łączyła dobrowolnych, czy przymusowych wysiedleńców ze „starym krajem”, była stosunkiem idealnym, pełnym wspomnień, tęsknoty, nienasyconej miłości...

W czasie wojny buchnęła jasnym płomieniem czynu, współdziałania z bronią w rękę¹⁾, bezgranicznej ofiarności materialnej. Obecnie młode pokolenia wchodzi w szranki życia — a Polska odrodzona, zamiast od nich potrzebować pomocy, zaczyna wobec wychodźstwa występować, jako Macierz, wkroczać państwowo z radą, pomocą, wymaganiami, płynącymi ze zmienionych warunków życia. Jesteśmy świadkami przewartościowywania stosunków, rewizji programów, dojrzwania wielu kwestyj zasadniczych, domagających się właściwego postawienia pod groźbą utraty dusz, zubożenia majątku narodowego.

Zapoznanie się z kompleksem zagadnień, jakie mieszczą się w stosunku Polonji amerykańskiej do t. zw. tutaj „Starego Kraju” nie jest sprawą łatwą, ani nie może być uskutecznione naprędce. Przybysz z Polski, jeśli się zjawia tu na krótko i w charakterze gościa, zwiedza pośpiesznie ważniejsze ośrodki życia społecznego, a nie ma czasu przemyśleć na miejscu wielu spraw, ani zapoznać się z ich genezą, może wywieść najfałszywsze wyobrażenia o rzeczach zasadniczych. Jest bowiem wiele takich rysów życia tutejszego, które uderzają nieprzywykłe oko swoim splendorem, a jednocześnie rażą je nieproporcjonalnością innych stron i wywołują wnioski w sumie niesprawiedliwe. Weźmy chociażby powszechną zamożność ludności polskiej w Ameryce, częste — bogactwo. Jeśli zbyt rzadko idzie z niem w parze kultura, niezawsze poczuwanie się do większych obowiązków społecznych — to obserwator powierzchowny zdziwi się i zgorszy; ale ktoś, kto będzie w możności stwierdzenia, że ten dobrobyt został zdobyty krwawym potem i trudem lat całych, zbadania, jakie zasoby duchowe i umysłowe przyniósł emigrant do obcego środowiska — ten ktoś oceni daną sprawę spokojnie i, zamiast słowa nagany, wypowie słowo obrony lub współczucia.

Wnikając w środowisko polskie w Stanach Zjednoczonych Am. Półn., trzeba mieć na uwadze, że jest ono prawie wyłącznie pochodzenia ludowego. Z powodu katastrof politycznych po każdym powstaniu emigrowała do Ameryki pewna liczba ludzi ze sfer inteligencji, ale emigracja masowa była ludową i ona nadała ton i charakter obecnej naszej kolonji amerykańskiej. Nie bylejąka to „kolonja”: blisko 4 miliony dusz w Stanach — pół miliona w samym tylko Chicago!

Jest o kogo się troszczyć i o czym myśleć... Przemyslenie problemu emigracji, postawienie go, jak należy — to dla Polski nowoczesnej jedno z tych najpilniejszych i najbardziej palących zagadnień, które muszą być należycie rozstrzygnięte. Jest to tembardziej ważne i pilne, że od lat kilku, jak wiadomo, Ameryka zamknęła swe porty dla emigracji i trudno jest się tu dostać obcemu, a o napływie masowym niema mowy. Nastąpiła więc jakby stabilizacja w grupie polskiej, nie można liczyć na odnowienie się żywiołu emigracyjnego świeżym napływem materiału ludzkiego z odrodzonej Macierzy. Druga Polska za oceanem stała się pewną zdecydowaną całością, rozwija się na prawach przyrostu naturalnego i coraz bardziej zmienia swe dotychczasowe oblicze.

Światlejsza część naszego społeczeństwa amerykańskiego zdaje sobie doskonale sprawę, że zmiany te zachodzą; piszą o tem dzienniki, są dyskusje na ten temat po towarzystwach. Z jednej strony społeczeństwo polskie w Ameryce dąży coraz świadomiej do osiągnięcia takiego samego poziomu umysłowego i towarzyskiego, na jakim znajduje się społeczeństwo amerykańskie; z drugiej — troska o to, jaką w stosunku do polskości ma być tu urodzona młodzież nasza, coraz poważniej zajmować zaczyna umysły starszego pokolenia.

Niedawne to jeszcze czasy, kiedy wyraz „Polak” w ustach Amerykanina był czemś prawie obelżywem, a w każdym razie oznaczał istotę niższą, podległą pracy najcięższej, ciemną i upośledzoną. Polacy zamieszkali w dzielnicach najuboższych i najbrudniejszych, pracowali po rzeźniach i halach targowych, jako woźnice i tragarze; kobiety wynajmowały się do prania i posługi. Starzy ludzie, mieszkający obecnie we własnych domach, lub zbyt kownych hotelach, jeżdżący własnymi autami, opowiadają nierzadko — a opowiadają z wielką najczęściej szczerością i prostotą — o ciężkiej nad wyraz i źle wynagradzanej pracy, jaka była ich udziałem przez długie lata po przybyciu do Ameryki. Najprędzej dorobił się fachowiec: szewc, piekarz, krawiec, mechanik. Dziś synowie tych skromnych pracowników są doktorami uniwersytetów i dyrektorami milionowych przedsiębiorstw, a córki noszą brylanty i wiodą życie istic książęce.

Ale to jedna tylko strona medalu. Druga — t. j. stopień kultury i wykształcenia, będący zwykle zdobyczą pokoleń — trudniejsza była do osiągnięcia. Prawda, że, jednocześnie z krwawo zdobywanym przez lud nasz kawałkiem codziennego chleba, kielkowały i rosły — kościół polski i szkoła polska parafjalna. Obecnie są to instytucje potężne, rozporządzające wspaniałymi budynkami i obracające setkami tysięcy dolarów, ale — nawet w połączeniu z istną siecią towarzystw przeróżnych, grupujących w sobie żywioł polski, przestają one zaspokajać wzrastające potrzeby wychodźstwa. Zmienia się również typ Polaka amerykańskiego, a z nim — stosunek jego do Polski i do wszystkiego, co polskie. Dorastają po-

¹⁾ Polacy Amerykańscy wystawili armję, liczącą blisko 23.000 żołnierza.

prostu dzieci i wnuki dawnych emigrantów, młodzi ludzie, którzy tu się urodzili, po tutejszemu wychowali, nigdy Polski nie widzieli i stoją — wcale często nie zdając sobie z tego sprawy — przed dwiema ewentualnościami: albo zamerykanizowania się do reszty, albo wyraźnego zdeklarowania swej polskości.

Nie trzeba chyba udowadniać, że ze wszech miar pożądaną byłaby dla nas ta druga ewentualność i że w kierunku zdobycia dla polskości tych zastępów młodych obywateli amerykańskich polskiego pochodzenia pójść powinna współpraca Macierzy z Wychodźstwem. Ale trzeba brać się do tej roboty mądrze i planowo. Nie przykładać miar zużytych do zjawisk

nowych, nie kruszyć kopji za sprawy przebrzmiałe, nie wymagać od ludzi młodych, by czuli tak, jak starzy. Wszelkimi sposobami i z całą siłą prawdziwego ukochania zbliżyć Ojczyznę do tych oddalonych dzieci — nauczyć ich polskości od *a b c*, od mowy i tradycji przedwiekowej, aż po ostatnie słowo dnia dzisiejszego i, *choćby ta polskość zaoceaniczna inaczej rozglądać miała niż nadwiślańska*, przyjąć ją radośnie, jako zdobycz pożądaną i pomnożenie ogólnego dobra narodowego.

W szeregu obrazków i uwag z życia polskiego wychodźstwa w Ameryce postaram się rozwinąć i uzasadnić stopniowo zaznaczone tu zagadnienia.

JADWIGA KIEWNARSKA.

MIGAWKI ZDROJOWE

ZABAWA DZIECINNA W ŻEGIESTOWIE.

Profesor Drabik od samego rana strzyże i klei. Z nieforemnego stosu kolorowych bibulek i strzępków złoczonego papieru wyłaniają się, jak na skinienie różdżki czarodziejskiej, królewskie korony, czapki krasnoludków, fantastyczne kwiaty, gwiazdy, słońca i inne dziwy. Skupiona dzieciarnia patrzy z zachwytem na ręce artysty, zdolnego w tak krótkim czasie i tak naprawdę z niczego — wyczarować podobne cuda.

Pytają szeptem. Przynoszą klej i nożyczki. Dumni i szczęśliwi, dają sobie mierzyć owe wspaniałe stroje.

W drzwiach staje mały chłopczyk, synek profesora.

— Chodź tu, Jureczku!

— POCO?

— Chcę, żebyś włożył czapeczkę, w której pójdziesz na zabawę.

— Nie włożę i nie pójdę!

Odpowiedź kategoriyczna, zdecydowany zwrot na pięcie, grymas wielce pogardliwy. Nikt pono nie jest prorokiem wśród swoich.

— Ja w jego wieku byłem taki sam: nigdy nie chciałem „zrobić z siebie małpy“ — tłumaczy syna profesor, ale jest mu wyraźnie przykro. Jeżeli jednak entuzjazm tłumów może wynagrodzić obojętność najbliższych — artysta otrzymuje zupełną satysfakcję. Zapał dziatwy nie ma granic. Najmniejszy drobiazg winduje własnoręcznie krzesła i stoły, energicznie rozsuwając gapiących się dorosłych i wołając „przepraszam! przepraszam!“ prawie tak soczystym basem, jak sam pan Stanisław, najprzystojniejszy kelner ze zdrojowej restauracji.

O pół do dwunastej ustawiamy się w pochód. Z obozu na Łopacie przemaszerowało dwadzieścia osiem druhen. Wszystkie opalone na bronz, proste, jak



Widok na Żegiestów z góry.



Autorka feljetonu też bierze udział w pochodzie.

świeczki. Na główki dostały wianki ze zboża i kwiatów; wyglądają w nich, jak słowiańskie boginki leśne. Dla dzieci, których mamusi nie miały czasu, czy o choty pomyśleć o kostjumie, są owe przeróżne i prześliczne czapeczki, pomysłu i wykonania malarza-dekoratora pierwszych scen stołecznych, który tak sobie i innym urozmaica wakacje. Radość okrutna. Parę drobnych nieporozumień, bowiem na widok tylu śliczności nie tak to łatwo odrazu się zdecydować.

Są i kostjумы. Jeszcze jakie! Maczek, krakowianka, łowiczanka, cowboy, pajac, słonecznik, konik z grzywką z fryzowanej bibułki, malutki, trzyletni kotek, ogromnie przyjacielski, wciąż kiwający przypawionym ogonkiem i wreszcie dwa nieprawdopodobnie miluchne bobaski — błękitny pierrot i także kolombina. Ale ta największym powodzeniem ciesząca się para nie chce dać ani kroku „bez mamusi“.

Orkiestra, ustawiona przed domem zdrojowym, zaczyna grać marsza. Pochód wyrusza na deptak. Prowadzą uśmiechnięte skautki. Za nimi dzieci, coraz mniejsze. Na końcu biegnie dobroduszny biały kiciuś, popiskując z uciechy.

Okna domu zdrojowego i stojących przy deptaku willi napełniają się zaciekawionymi twarzami. Sukces niebywały. Na wszystkich rogach deptaku rozstawione kodaki mrugają zawzięcie.

— żeby się tylko dzieci nie pozaziębiały — wzdycha jakaś zatroskana mama.

Wracamy do sali. Dzieci małe i duże, rodzice i

tłum luźnych gapiów. Obszer-
na sala domu zdrojowego,
 pachnąca od świerkowych ga-
 łązi, którymi ją udekorowano,
 nie jest w stanie pomieścić
 wszystkich zgromadzonych. A
 właściwie to możeby i pomie-
 ściła, żeby tylko zechcieli się
 umiejscowić przy stolikach
 pod ścianami, zostawiając śro-
 dek sali wolny dla dzieci. Ale
 właśnie wszyscy cisną się do
 środka, żeby lepiej widzieć,
 tak, że wkońcu nikt już nic nie
 widzi, jeszcze chwila, a dzieci
 się poduszają.

Od czego są jednak dziel-
ne i karne drużyny?! Biorą się
za ręce, w rytmie ludowej pio-
senki, granej przez orkiestrę,
rozwijają krąg, coraz szerszy.
Już dorośli są pod ścianami.
Krakowianka szkicuje jakieś
solowe pas. Pajac usiłuje jej
partnerować. Kiciuś wyciąga

do wszystkich przyjacielską łapkę i wciąż ogromnie się
cieszy.

Skautki są uniwersalne. Nietylko zrobiły porządek, ale i improwizują szereg produkcji artystycznych. Śpiewy chóralne, tańce zbiorowe, monolog humorystyczny, pantomina w kostjumach ze śpiewem. Nie wszyscy wiedzą dokładnie, o co chodzi, bo dzieci i dorośli solidarnie hałasują (dorośli, oczywiście, znacznie więcej); ale nastrój staje się coraz bardziej serdeczny i przyjemnie towarzyski.

Kulminacyjny punkt zabawy — szukanie kwiatu paproci — wypada efektownie. W gąszczu autentycznych choin i paproci ukryto duże pudło cukierków. Popelniamy podłość, uprzedzając ładną i grzeczną dziewczynkę, gdzie się pudło-kwiat znajduje; cho-



Żegiestów. — Plaża nad Popradem.

dzi przecież o to, żeby je znalazła osóbką altruistycznie usposobiona, zdolna cukierki rozczęstować, a nie chciwy bąk, któryby wszystko sam pożarł i jeszcze rozryczał się na dobitkę.

Wszystko się kończy na tym padole placzu, więc i dziecinny bal kostjumowy też. Aby skłonić rozbawione grono do opuszczenia lokalu, wypadło pogasić światła.

— My chcemy zostać — meldują zgodnym chórem czupurne druheny.

Wszyscy się rozechodzą w doskonałych humorach. Melancholijny jest jedynie ośmioletni Witold, bo przebrał się za dziewczynkę w nadziei, że go nikt nie pozna, aż tu wszyscy poznali.

I pięcioletni Loluś czegoś płacze. O co chodzi? Okazuje się, że uciekła mu dziewczynka, z którą mazerował w pochodzie.

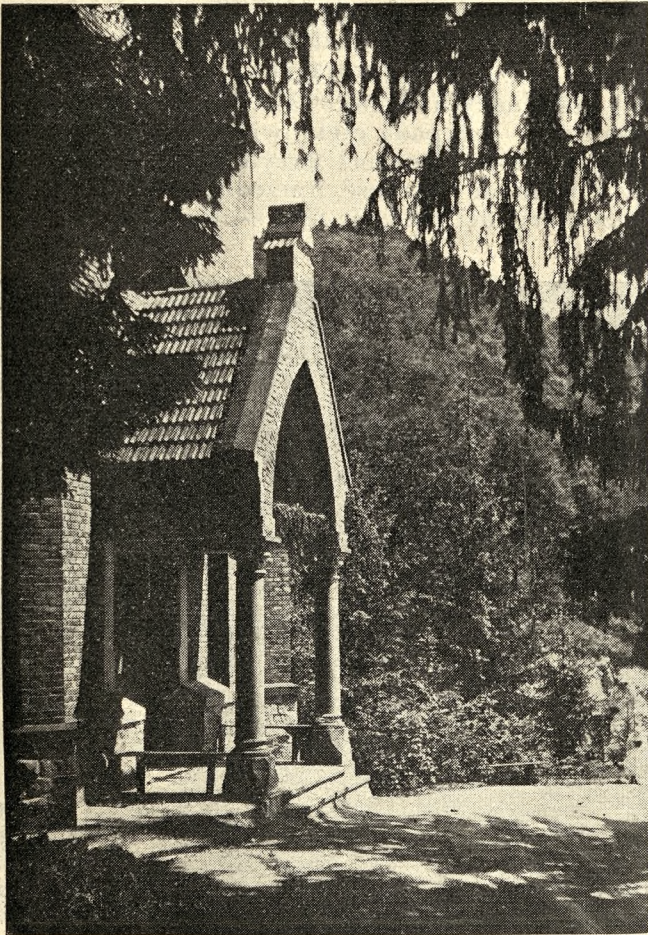
Takie kłopoty?!... W tak młodym wieku!...

U SKAUTEK NA ŁOPACIE.

Żegiestów—20 lipca.

Poleca się uwadze p. t. kuracjuszy, że dnia 21 lipca odbędzie się na Łopacie wieczorynka harcerska z ogniskami i tańcami ludowymi, na którą o tłumne przybycie uprzejmie zapraszamy.

Komisja Zdrojowa w Żegiestowie.



Kaplica w Żegiestowie.

Tak brzmiał oficjalny komunikat, odbity na maszynie i rozdawany kuracjuszom przez uprzejmie uśmiechniętego portjera. Ale właściwie to obeszłoby się nawet bez tej zachęty. Obóz skautek na przesłicznie położonej „Łopacie polskiej” oddalonej od domu zdrojowego o tysiąc pięćset metrów, jest ulubionym celem spacerów i wycieczek.

Wszyscy radzi chodzimy gawędzić z jasnookiemi i ciemnoskóremi druhenami. Miło jest widzieć, jak się krzątają zaaferowane, lecz wesole, dające sobie świetnie radę w warunkach zawsze prymitywnych, nieraz ciężkich. Dobrze jest cieszyć się wraz z niemi z tych pracowitych, a przecież najradośniejszych i najzdrowszych wakacyj.

To też w dniu wieczorynki, krętą, leśną szosą, wiodącą ku Łopacie, suną tłumy. Szczęśliwi posiadacze własnych samochodów wiozą zaproszonych gości. Nieposiadający i niezaproszeni podążają pieszo, nie tracąc przez to na humorze.

Fiołkowy zmierzch zwolna osnuwa, narazie jeszcze tylko najwyższe wierzchołki sosen. Upalne popołudnie zmienia się powoli w ciepły i cichy, najcudniejszy, górski wieczór. Na tle rdzawego zachodzącym słońcem nieba rysują się maleńkie, jasne piramidki namiotów, sypialni, jadalni i szpizarni skautek.

— Czuwaj! Czuwaj!... — wesolo, donośnie wita przybywających gości. Dużo jest tych druhen. Do naszych dawnych znajomych przyłączyły się ostatnio jeszcze dwa namioty skautek śląskich. Najstarsze dobiegają lat szesnastu, najmłodsze zdają się nie mieć nawet lat ośmiu. Ale wszystkie świetne: zdrowe, silne, promienne i tak im wszystkim dobrze patrzy z oczu.

Grzeczne dzieci kuracjuszy, spędzające wakacje w komfortowych pensjonatach i hotelach, oprowadzane przez troskliwych rodziców, niezem pokojowe pieśki, z nietajonym zachwytem i zazdrością bez miary przyglądają się brązowym, sypiającym na przykrytej kocem murawie, skautkom.

O krzesłach, oczywiście, nie może być mowy. Zaledwie znalazł się stółek jeden, drugi, czy może nakryty kocem pieńek, dla honorotiores z tak bardzo druhenom przyjaznej dyrekcji. Tłum przybyłych gości rozkłada się na ziemi, na własnych paltach i pledach. Zapalono ogniska. Pieką się pod popiołem kartofle, najsmaczniejsze, jakie się kiedykolwiek jadło.

Druheny tańczą „trojaka” (taniec trójkami), akompaniując sobie śpiewem. Wtóruje im las i wartko biegnący dołem po kamykach, zimny, srebrzysty Poprad.

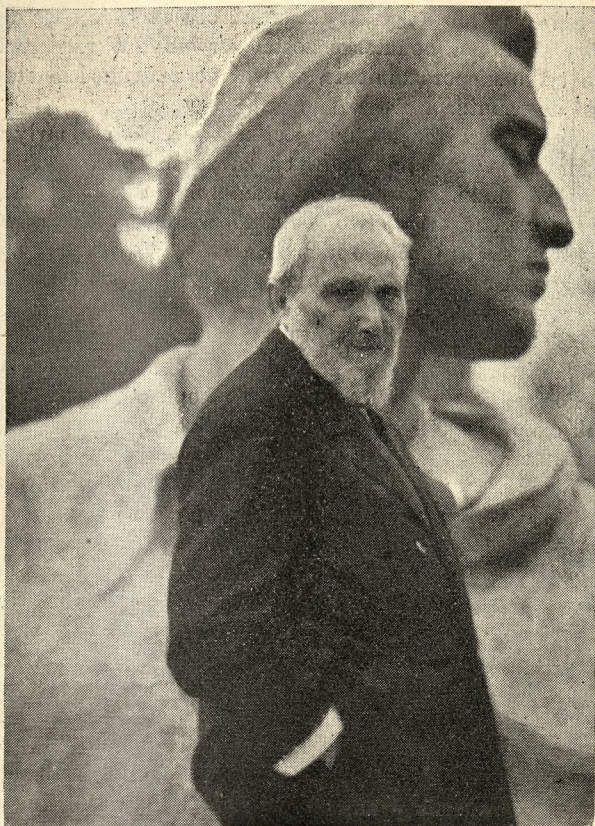
Powoli do chóru przyłączają się wszyscy. Robi się coraz ciemniej. Sylwetki druhen przy ogniskach wyglądają, jak czarne cienie chińskie. Nie chce się myśleć o powrocie do domu. Już nie do miasta nawet, ale i do uzdrowiska, gdzie jest elektryczność i kanalizacja.

— Precz z cywilizacją! Niech żyje natura!

— Na przyszłe lato, to żeby się góry i mury waliły, idę do obozu! — oznajmia z pałającymi oczyma ładny, piętnastoletni skaucik, którego rodzice przymocą zabrali ze sobą na ucywilizowane, europejskie wakacje, podczas których chłopczyzna się nudzi, jak mops w szufladzie.

— Masz rację, braciszku. Postaw na swoim. Po miejskim kurzu i zaduchu, po przymusie klasy szkolnej należy ci się powietrze i swoboda.

Po pracy — prawdziwe wakacje.



Ś. p. Wacław Szymanowski na tle głowy Szopena.

Ś. P. WACŁAW SZYMANOWSKI

Zgasł artysta, którego całe życie było walką o sztukę. Ś. p. Wacław Szymanowski nie należał do natur kontemplacyjnych, ale zdobywczych. Swoje pomysły plastyczne wcielał z odwagą i wiarą fanatyka. Zagadnienia formy przecinał z bezwzględnością, która wywoływała podziw u jednych, gwałtowny sprzeciw u drugich. Jego bogata i wybuchowa indywidualność nie znosiła olimpijskiego spokoju w sztuce, wyładowując się w dynamice kształtu.

Jest rzeczą niesłychanie ciekawą, że Szymanowski, jako młody chłopak, zaczął od rzeźby (pod kierunkiem Godebskiego), potem przerzucił się na malarstwo (szkoła monachijska), a zebrawszy na tem polu liczne laury („Kłótnia huculów“, nagrodzona dwoma złotymi medalami, a później zakupiona do muzeum w Savannah „Powrót z kościoła“, „Upał“, wielki tryptyk „Modlitwa“) — wraca do rzeźby, której oddał się niemal wyłącznie z całą pasją artysty o potężnym rozmachu i olbrzymich aspiracjach.

Zrywa z klasycznymi tradycjami statyki w rzeźbie; nie spokój i monumentalność, ale ruch i patos stają się przedmiotem jego namiętnych poszukiwań. Długotrwałe studia malarskie odbiły się na jego technice rzeźbiarskiej. Szymanowski chętnie posługuje się w rzeźbie efektami czysto malarskimi, zacierając ogólnie przyjęte granice między temi dwiema odrębnymi dziedzinami sztuki.

Impresjonizm znalazł w nim gorliwego wyznawcę. Z właściwym sobie fanatyzmem doprowadził ten styl w rzeźbie niemal do absurdu. Stał się przez to wyrazem swojej epoki, epoki przejściowej, która tak szybko musiała ustąpić miejsca nowym prądom w sztuce. Z tą koniecznością nie liczył się artysta, tworzący pod nakazem żywiołowej pasji.

Poeta walczył w nim z plastykiem i niejednokrotnie od-

nosił nad tym drugim zwycięstwo. Patos wewnętrzny, który tak silnie przemówił w „Modlitwie“, szalał w jego dziełach rzeźbiarskich, jak burza. Czy to była „Improwizacja“, czy drapieżne „Macierzyństwo“, czy Szopen, zasłuchany w poszum tragicznej wierzby, czy wreszcie monumentalny „Pochód na Wawel“ — wszędzie pomysł literacki rozsadał formę plastyczną, niewystarczającą dla ogarnięcia całokształtu wizji, z której artysta niczego nie chciał ustąpić na rzecz wymagań materiału i ogólnie przyjętej techniki.

Był wierny sobie i raz przez siebie obranemu kierunkowi; nie mógł zrozumieć, że podczas gdy on wykuwał swoje wizje kamienne, ludzkość wielokrotnie zdążyła stracić jedne, wznieść inne bogi. Do nowych kultów estetycznych przystosować się nie chciał i nie mógł. Zamknięty w kręgu własnego piękna, wolał atmosferę dumnego odosobnienia duchowego, niż rezygnację. Był to talent potężny, indywidualność zwarta i jednolita. S. P. O.

Z TEATRÓW

TEATR NARODOWY.

„Interes przedewszystkiem“ — sztuka w 3 aktach O. Mirbeau.
Reżyserował L. Solski.

Stare sztuki są, jak stare suknie. Po dwudziestu latach odpoczynku w szafie, są niemożliwe do włożenia. Nie pasują do żadnej twarzy, zniekształcają każdą figurę. Szczególniej, jeśli od początku były źle skrojone. Zbyt młode nato, żeby miały czas nabrać stylu, dostatecznie stare, aby z pod fasonu „dernier cri“ wylazła na wierzch... tandeta.

Co skłoniło dyrekcję Teatru Narodowego do wietrzenia na pierwszej polskiej scenie takiej zużytej, zjedzonej przez mole garderoby teatralnej, jaką jest „Interes przedewszystkiem“? Czy tylko popisowa kreacja Junoszy-Stępowskiego w roli aferzysty Lechat? To chyba za mało. Dlatego, żeby świetny artysta mógł rozwinąć pawi ogon swego aktorskiego kunsztu, wznawia się sztuczdyło źle zrobione, przestarzałe, zakłamanie od początku do końca, całe oparte na fałszywych, melodramatycznych efektach i akcentach, których żadna, choćby najlepsza gra aktorska nie może podnieść do poziomu dzieła sztuki.

Cóż z tego, że Junosza-Stępowski dał autentyczną, w żywym mięsie wyciętą sylwetkę szakała arrywizmu, nieśmiertelną i niestarzejącą się postać zarłocznego dorobkiewicza, zawsze aktualną syntezę triumfującego chamstwa. Cóż z tego, skoro poruszał się w próżni? skoro on jeden był człowiekiem, a otaczały go sztuczne homunkulusy, w których istnienie nikt z widzów nie wierzył.

Do jakiego stopnia nieszczerzy patos osiąga wprost przeciwny skutek, dowodem fakt, że podczas najbardziej „wzruszającej“ sceny w akcie trzecim, kiedy matka z córką padają sobie w objęcia — cały teatr trząsł się tłumionym śmiechem, cały, z wyjątkiem dwóch damulek, uczesanych według ostatniej mody z roku Pańskiego 1908. Te zaćne niewiasty, których fryzura, a prawdopodobnie i mentalność, doskonale harmonizowała z „tenorem“ sztuki, sapały z alteracji i szlachetnego oburzenia na ten zepsuty nowoczesny świat, który nie pada na twarz przed widmem gorsetu.

Na pociechę mogą im powiedzieć, że nie są odosobnione. Rzesze bratnich dusz znajdują... nad Sekwaną. Nie zapomnę nigdy pewnego przedstawienia w Comédie française przed paru laty. Grano „Margrabiego de Priola“ — melodramatyczną ramotę, która nawet u nas już dawno wyszła z obiegu, choć w niej laury sceniczne zbierał swego czasu Kamiński. Świetni aktorzy Komedji francuskiej zgrywali się klasycznie. Kłamstwem buchało od tej całej uroczyściej bujdy. A teatr płakał. Jak na komendę,

wszystkie batystowe chusteczki podnosiły się do podmalowanych oczu, wszystkie łona pod jedwabiem sukien balowych i białą frakowych kamizelek drgały zgodnym rytmem szlochu. Tylko w kąciku łoża śmiała się jedna przyjezdna barbarzynka. Śmiała się ścicha, ukradkiem, bo nie chciała, aby ją wyprowadzono z tego przybytku „wzniosłej uludy“. Bawiła się zbyt dobrze.

Nie mogę tego samego powiedzieć o przedstawieniu „Interes przedewszystkiem“. Spektakl raził dysproporcją między żywiołową aktorską pasją Stępowskiego, a żółwiowym temperamentem reszty zespołu. Akcja ślimaczyła się w sposób zupełnie groteskowy. Sumienna praca i wysiłki poszczególnych aktorów ginęły w gęstwinie ogórkowego zaniedbania. Ze sceny wiało kwaśnym prowincjonalnym zaduchem. Powietrza! na miły Bóg, powietrza!

S. P. O.

Z KSIĄŻEK

Ewa Szelburg-Zarembina: „Chusta św. Weroniki — Tow. Wydawnicze „Rój“. Warszawa, 1950.

„Chusta św. Weroniki“ jest ciekawą próbą powieści ekspresjonistycznej. Nie fakt sam w sobie jest rzeczą ważną i istotną, nawet nie jego zewnętrzne oblicze, ale wyraz tego oblicza, odbity w psychice bohaterki. Nie epicka ciągłość tych faktów, ale raczej liryczna płynność ich wyrazu jest przedmiotem artystycznej troski autorki.

Terenem operacyjnym twórczej wyobraźni jest chwila. W wydobywaniu na jaw najgłębszego, podświadomego podłoża chwili, w ujawnianiu sekretnego, nieraz najwstydlivszego jej rdzenia Ewa Szelburg jest mistrzynią. Z przedziwną, sobie tylko właściwą subtelnnością, doprowadzoną nieraz do granic perfidji, lubuje się w wyluskiwaniu doskonale okrągłych, zamkniętych w sobie, zielonych ziarn życia z suchego strąka dojrzałej rzeczywistości.

Drogą surowej selekcji dochodzi do wyboru tych tylko momentów, które w losach Weroniki mają moc zapładniającą. Żaden z nich nie schodzi ze świata bezpotomnie. Fragmentaryczność ich jest tylko pozorna. W istocie są one zrosnięte wewnętrznymi węzłami tajemnego pragmatyzmu. Poszczególne ich ogniwa zazębiają się o siebie w sposób nieraz zgoła niespodziany, dziwaczny, kapryśny, a jednak podporządkowany kanonom pewnego systemu.

Ten system mógłby zakrzepnąć w kościec prawidłowej i przejrzystej budowy, gdyby nie nieco lekkomyślna swoboda, z jaką autorka dowolnie przekracza samej sobie zakreślone ramy. Wygląda to tak, jakby podczas samej akcji pisania materiał twórczy podlegał fermentacji, pęczniał, narastał, przelewał się przez brzegi formy, zastygając na jej powierzchni w kształt nieprzewidziany, przypadkowy, niedostatecznie skryształizowany.

Cierpi na tem konstrukcja utworu, cierpi konsekwencja w przeprowadzeniu pewnych tez, w rozstrzygnięciu zasadniczych problemów życiowych, które autorka muska w przelocie tam, gdzie należało do dna je zgruntować.

Takim, ideowo niedostatecznie umotywowanym, a psychologicznie nie dość pogłębionym momentem jest odejście Weroniki od męża.

Młoda, wrażliwa, impulsywna i sensytywna istota, dotąd wierna zdrowemu instynktowi, zdobywa się na krok, godny wyrafinowanej doktrynerki. Przekonanie, że miłość do męża uczyniła ją powolnym naczyniem cielesnej chuci wszystkich męczyczn, każe jej tego męża opuścić, właśnie w imię świętości uczucia, którego wyłączność została pokalana płomieniem żądzy uniwersalnej, zbiorowej.

Stajemy wobec mglistej zagadki, czujemy, że nasz dotychczasowy kontakt z bohaterką został zerwany. W rzeczywistości jest to tylko nieporozumienie, wywołane zmiennością stosunku autorki do tematu.

W pierwszej części, noszącej nazwę „Dom umarłych miłości“, mamy w zupełnie realnych zarysach zobrazowane dzieciństwo Weroniki. W dumnym osamotnieniu serca, skazanego na przedwczesne sieroctwo, dziecko wyrasta na dziewczynę. W drugiej części — „Chleb nieprzełamany“ — dziewczyna staje się kobietą. Ale w miarę rozwoju wypadków coraz bardziej zatracają rysy indywidualne, nabiera cech ogólnych. W części ostatniej: „Chusta św. Weroniki“ — mamy już do czynienia z jakimś „uniwersum“ kobiety-matki, o zarysach mgławicowych.

Po śmierci dziecka wszystko, co konkretne, od niej odpada, jak ciało od kości, następuje stopniowa dematerializacja postaci, z początku nawskroś realnej, trójwymiarowej. Weronika, spotykająca w katakumbach Dobrego Pasterza, jest jeszcze cieniem żywej istoty, ale o krok dalej, kiedy Boski Ogrodnik otwiera przed nią wrota rajy i połą swego płaszcza ociera jej uznojone w ziemskiej wędrówce lica — to na tej chuście odbija się nie jakaś jedna indywidualna twarz, ale wizerunek umęczonej ludzkości. Jesteśmy świadkami wyrównania mistycznych rachunków między Bogiem a człowiekiem.

Do tej ostatecznej konkluzji dochodzi autorka ścieżkami nieco zawilemi. Chętne posługiwanie się symboliką chrześcijańską (Strzały św. Sebastjana, Chleb nieprzełamany, Dobry Pasterz, Ogrodnik, Chusta św. Weroniki) znajduje gwałtowną przeciwwagę i artystyczny odpowiednik w nawskroś pogańskiej ekspresji scen i nastrojów erotycznych. Akcja powieści kołysze się na dwóch, jednak obciążonych, szalach; nowoczesna Weronika nosi dwa oblicza po dwu stronach symbolicznej chusty.

Tę dwulicowość treści, dalekiej od stopienia w skończony kształt medalu, okupuje wyjątkowa jednolitość stylu. Pod tym względem kunszt Ewy Szelburg zaliczyć należy do wysokiej klasy.

„Styl — to człowiek“. Tu powiedziećby można raczej: styl — to organizm“. Tak mocno, poprostu fizycznie, jest zrosnięty z jej indywidualnością twórczą.

S. P. O.

KSIAŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

DOM KSIAŻKI POLSKIEJ.

Artur Górski: „Glossy o ludziach i ideach“. Warszawa. 1950.

KSIEGARNIA „KRONIKA RODZINNA“.

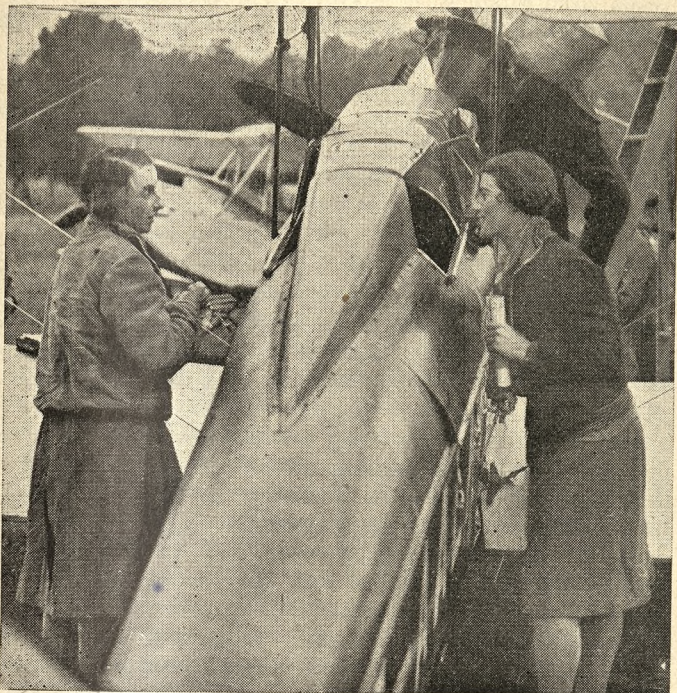
Czesław Xawery Jankowski: „Na kamiennej fali“ — powieść współczesna — Warszawa. 1950.

Biskup ks. Władysław Bandurski: „Krwii ofiarnej cześć“ — Warszawa. — skład główny w Domu Książki Polskiej.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

P. Irenie W. — List Pani umieszczamy w „Mównicy“. Wiele już czytelniczek naszych znalazło za jej pośrednictwem pomoc i radę w trudnych okolicznościach życia. Co do sprawy współniczki, to byłoby może dobrze dać ogłoszenie, że Pani takiej osoby poszukuje. Ceny w naszym dziale ogłoszeń: 50 gr. za wyraz (należność uiszczać można w znaczkach pocztowych).

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU



Pani pilotka (z lewej strony) i Pani mechanik (z prawej).

KOBIETY W RAIDZIE AWJONETEK.

Polek, jak to już zaznaczyliśmy, niestety niema, są tylko angielski. Znakomita lady Bailey i Miss Spooner. Ciekawą nowością jest trzecia niewiasta, Mrs. Butler, która wzięła udział w raidzie jako mechanik. W ostatniej prawie chwili przed startem Miss Spooner z Londynu, mechanik jej oświadczył, że nie może jechać, wtedy Mrs. Butler zgodziła się go zastąpić. Obie panie są bardzo zadowolone ze wspólnego lotu. Pani Butler jest żoną lotnika, który leciał na czele raidu, przez trzy czwarte trasy i w ostatniej prawie chwili uległ wypadkowi w Poznaniu. Sam wyszedł wprawdzie bez szwanku, ale zepsuty aparat uniemożliwił utrzymanie się na pierwszym miejscu.

GOŚCIE OD „RÓŻYCZKI“.

Znamy wszyscy wielką przyjaciółkę Polski, p. Różę Bailly, która rozwija niezmordowaną działalność w ciągłym utrzymywaniu i podsycaaniu wzajemnego kontaktu i zainteresowania Francji i Polski we wszystkich dziedzinach życia. Za sprawą „Różyczki“ powstało stowarzyszenie Les Amis de la Pologne, wydające corocznie tomy przekładów z dzieł literatury naszej i książek o Polsce, posiadające we Francji kilkadziesiąt oddziałów, ośrodków propagandy spraw polskich i urządzające ciągle wycieczki do Polski. Jedną z takich wycieczek przybywa do nas w najbliższych dniach. Jeden z najgorliwszych współpracowników p. Bailly, p. Piotr Garnier, przewodniczący oddziału Tow. Przyjaciół Polski w Politechnice paryskiej, przyjeżdża wraz z dwunastu słuchaczami, w celu zwiedzenia naszego kraju. Program wycieczki obejmuje Gdynię, Warszawę, Wilno, Częstochowę, Kraków, Nowy Sącz, Zakopane i Katowice. Przyjazd tak miłych gości jest jeszcze specjalnie ważny i dlatego, że studenci Politechniki paryskiej to ludzie wybitnie zdolni, którzy zawsze potem zajmują we Francji poważne, a wielokrotnie naczelne stanowiska. Zaznajomienie się ich z naszą kulturą grać będzie w przyszłych stosunkach polsko-francuskich dużą rolę. P. Gar-

nier zaś jest autorem dzieła o Koperniku, wysoko ocenionego przez krytykę naukową.

Goście przyjmowani będą przez Politechnikę warszawską, Komitet pomocy studentom-polakom zagranicą, oraz Koło Krakowskie Tow. Przyjaciół Francji w Polsce.

PEWIANKI ROBOTNICE.

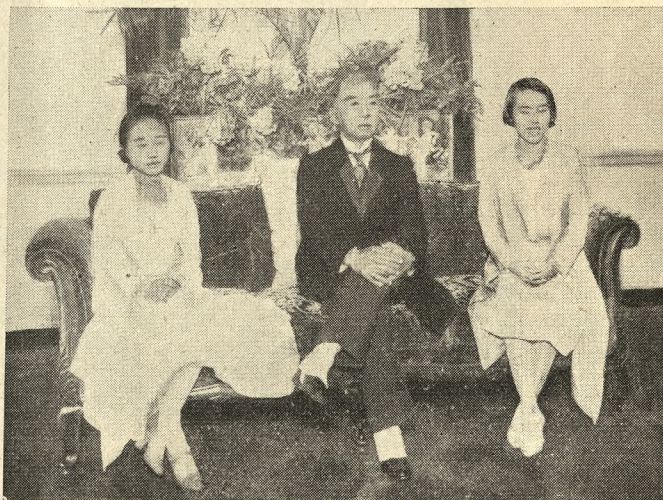
Udział kobiet w obronie kraju, pozostający dotychczas sprawą urzędowo nierozstrzygniętą, daje nam najlepszy przykład, że impuls społeczny, obyczaj i życie wyprzedzają prawa pisane. Sprawę swej współpracy na terenie wojskowym kobiety załatwiły właściwie same. Nikt ich nigdy do tej działalności nie wzywał, przeciwnie, na początku i w czasie trwania wielkiej wojny wszędzie stawiano im raczej przeszkody. Nie zważając na nie, kobiety stanęły do pracy na wszystkich polach. I nie tylko w organizacji pomocy dla armji na tyłach, nie tylko w zastępowaniu na wszystkich placówkach tych, co poszli do boju, ale w samej służbie wojskowej położyły zasługi. Impuls do tej działalności pozostał i w czasie pokoju, może nawet wzmógł się jeszcze, i na to zwrócić musimy baczną uwagę, że zastępy kobiet, przysposabiających się do pomocniczej służby wojskowej, są bardzo liczne w krajach, bezpośrednio z nami sąsiadujących.

W Polsce akcja ta rozwija się powoli, ale stale i konsekwentnie, a w ostatnich czasach zaczyna ogarniać nie tylko tak zwaną inteligencję, ale, co najważniejsze, sfery robotnicze kobiece. W tym roku poraz pierwszy zorganizowano letni obóz przysposobienia wojskowego dla robotnic w Fronołowie, pod Siedlcami. W pięknej, lesistej okolicy rozpostarły się namioty Pewianek. Przeszło sto dziewcząt, robotnic z różnych okolic kraju, przechodzi tu kolejno dwutygodniowy kurs wychowania fizycznego, a jednocześnie pogadanek ogólno-kształcących i zaznajamiających z zadaniami przysposobienia wojskowego. Zdrowe, wesole życie, w zespole koleżeńskim, wśród ruchu, ćwiczeń i piosenek wywiera niezatarte wrażenie i napewno każda z uczestniczek kursu stanie się, za powrotem do swego środowiska, gorącą propagatorką idei Pewianek.

Pobyty w obozie jest po pracy w dusznych warsztatach i fabrykach wypoczynkiem dla organizmu, a jednocześnie źródłem ożywczym dla psychicznego rozwoju dziewcząt, które często dotąd nie zdawały sobie sprawy, że każda z nich służyć może ojczyźnie, a dziś czują się członkami jej wielkiej rodziny.

NIEZROŚNIĘTE SIOSTRY SJAMSKIE.

Dwie te miłe panienki pochodzą z kraju, w którym często zdarzają się zrośnięte bliźnięta. Księżniczki sjamskie Poon i Pilai są córkami księcia krwi z Sjamu Damronga. Wychowane po europejsku, odbywają obecnie z ojcem podróż naokoło świata



Księżniczki z za morza.

KONGRES KOBIECY W PRADZE.

W końcu lipca odbył się w Pradze Kongres Federacji kobiet z wyższem wykształceniem. Przybyły na zjazd delegatki 40 krajów. Program Kongresu obejmuje wymianę nauczycielek szkół średnich pomiędzy krajami, należącemi do Federacji, wymianę lekarek i sprawę stypendjów naukowych dla członkiń. Stypendja te, to bardzo poważny środek umożliwienia kobietom studjów naukowych zagranicą, tembardziej, że, pomimo swych zdolności i pracy, uczone rzadko jeszcze zdobywają stypendja oficjalne, z których wszędzie dotychczas korzystają głównie mężczyźni. Federacja kobiet z wyższem wykształceniem rozporządza dużemi sumami z t. zw. funduszu centralnego, powstałego ze składek filji do centrali i z ofiar, prócz tego poszczególne kraje corocznie ofiarowują stypendja.

Praga przyjęła kongresistki bardzo uroczystie; prezydent Masaryk wydał oficjalny bankiet, córka jego zaś, p. Alicja Masarykówna, urządziła dla delegatek wielki raut w zamku.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

Na czoło wszystkich wydarzeń dni ostatnich wysunęła się katastrofa, która zniszczyła szeroki pas Włoch Środkowych, od Neapolu do Bari. W cichy, pogodny wieczór lipcowy dało się nagle odczuć gwałtowne trzęsienie ziemi. Wstrząsy, z których każdy nie przerosił pół minuty, powtórzyły się kilkakrotnie, skutek jednak tych krótkich chwil był straszny. Runęły kościoły, wspaniałe pałace, zabytki sztuki Średniowiecza i Renesansu, mosty i domy. Dwa przedmieścia Neapolu są doszczętnie zburzone, miasteczka Villanuova, Ariano, Monte Calvo nie istnieją. Nie został w nich żaden cały budynek, Potenza, Pulia, Melfi i szereg wiosek leży w gruzach, a ofiary w ludziach dochodzą w zabitych i rannych do sześciu tysięcy. Grozą przejmujące sceny działy się podczas katastrofy i przy odszukiwaniu zabitych i rannych. Rząd włoski zorganizował na wielką skalę akcję ratunkową, na której czele stanął król. Wydatnej pomocy udzielił również Papież i miasto Rzym. Niestety, nikt nie przywróci ży-

cia ofiarom, a długi czas upłynie, zanim odbudują się zniszczone wioski i miasta.

Jakby za mało było jednej katastrofy, w parę dni po trzęsieniu ziemi rozszał się w Trevizo i w okolicach cyklon, który zabrał też sporo ofiar i zniszczył tory kolejowe, zbiory i winnice. Przyczyna katastrofy we Włoszech Środkowych nie jest wyjaśniona. Źródkiem wstrząsu był krater wulkanu Vólturno, wygasłego zresztą oddawna, jako „góra ogniowa”. Niektórzy geologowie przypuszczają, że wstrząsy nastąpiły nie wskutek wybuchów podziemnych natury wulkanicznej, lecz że był to tak zwany uskok, obsunięcie głębokich warstw ziemi. Cokolwiek to było, rezultaty katastrofy okryły żałobą tysiące rodzin i wywołują serdeczne współczucie całego świata cywilizowanego.

Trudno powiedzieć to samo o drugiemu nieszczęściu, którego ofiarą padła Nadrenja. Niewątpliwie zawsze szkoda ginących ludzi i żal rodzin i bliskich, którzy ich opłakują, jednak w odniesieniu do katastrofy w Koblencji przypomina się: Mane, Tekel, Fares. Za dużo było tam wyzwolonej nienawiści, której ofiarą, jak zwykle bywa w takich razach, padło i podczas katastrofy i przed nią wielu niewinnych. Zaledwie francuzi opuścili Nadrenję, nacjonaliści niemieccy rozpoczęli krwawe walki z rodakami spokojniejszych przekonau. Zaciekli odwetowcy potrafili wciągnąć do swej propagandy nawet osobę prezydenta Rzeszy Niemieckiej, Hindenburga, który oświadczył, że nie pojedzie na uroczystości, zorganizowane z racji oswobodzenia Nadrenji, o ile w tych uroczystościach nie weźmie udziału osławiony Stahlhelm, bojówki nacjonalistyczne, które w myśl umowy ewakuacyjnej nie miały mieć do kraju wstępu. Zrobił się rwetes, incydent dyplomatyczny. Uczciwi niemcy, którzy chcieli dotrzymać warunków układu z Francją, zostali zmajoryzowani, butny Stahlhelm rozpostarł się w Nadrenji, prezydent przyjechał i oto w trakcie uroczystego pochodu w Koblencji runął most na Renie, pociągając w nurty rzeki przeszło sto ofiar.

Doprawdy, groźne i tragiczne memento! Niemcy twierdzili ongi, że nie boją się nikogo, prócz Boga; warto byłoby, aby sobie teraz właśnie o tej bojaźni przypomnieli.



Ruiny miasta Pulii, zniszczonego w czasie trzęsienia ziemi.

CHYLICZKI

NOWE PRĄDY W TECHNICIE GOSPODARCZEJ

Pod hasłem postępu w gospodarstwie wiejskiem, we wszystkich dziedzinach, zarządzanych przez kobiety — a więc zarówno w domu, ogrodzie, podwórzu, jak i w hodowli drobiu, świń, w mleczarstwie — założyła niepospolita, a za mało znana i ceniona w naszym społeczeństwie ś. p. Cecylja Zyberg Plate-równa szkołę gospodarstwa w Chyliczkach.

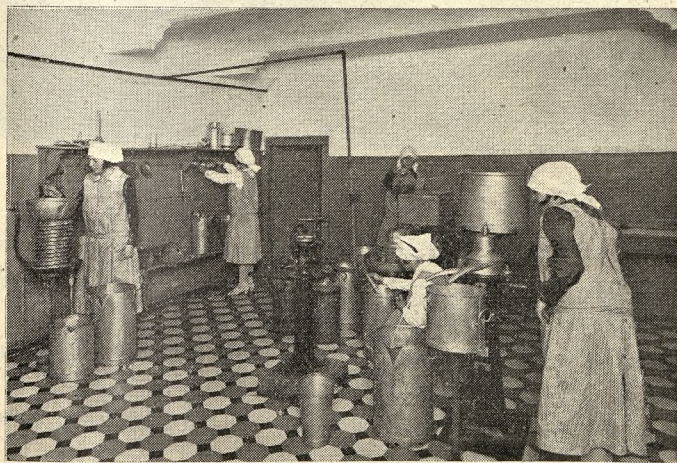
Powtarzam i podkreślam, że cechą charakterystyczną Chyliczek był od początku *postęp* i ta cecha dominuje do dziś, przeszła, jako tradycja, i zdaje się zwiększać z każdym rokiem, przy każdym nowym zastępie uczennic. Cały zespół nauczycielski charakteryzuje natychmiastowa gotowość wprowadzenia udoskonalień — czy to do programu pracy, czy do techniki, albo do urządzeń — a robi się to w sposób spokojny, pewny, opanowany, który imponuje mi zawsze, ile razy jestem w Chyliczkach.

Ostatnio trafiłam na koniec roku szkolnego, przed samym rozjazdem uczennic. P. Gólkowska, zastępująca p. Wyczółkowską, zajęta egzaminowaniem uczennic, zagarnęła mnie natychmiast po przyjeździe i, nie tracąc ani chwili czasu na tradycyjne uprzejmości, poszłyśmy oglądać to, co przybyło w szkole od czasu ostatniej mojej bytności.

A więc: imponująca i zupełnie nowoczesna cieplarnia, o trzech olbrzymich oddziałach, z wszystkimi udoskonaleniami szczegółami ogrzewania, oświetlania, cieniowania i przewietrzania. Ogródek botaniczny, specjalnie założony w celu zapoznania uczennic z pożytecznymi, a rzadko u nas uprawianymi roślinami, jak: karczochy, kardy, najrozmaitsze odmiany sałat i t. p.

Pomimo dobrej ziemi i świetnej uprawy, susza i tu daje się we znaki: jagody, których tu mnóstwo służy do nauki przygotowywania przetworów, nie są tak dorodne, jak zwykle. Mimo to, konfitury, konserwy, galarety i soki są wyborne! Konstatuję to, przysługując się, jak sprawnie panienki gospodarują, smażąc w specjalnym pomieszczeniu misterne szyszki z agrestu, przeznaczone do ubierania tortów; jak klasycznie opadają na dno słoja truskawki, wypełnione aż do wnętrza aromatycznym syropem.

Nie to jest jednak najciekawsze w tym dziale,



Mleczarstwo.



Przetwórstwo.

tylko sposób laboratoryjny traktowania samej techniki wyrobu przetworów. Biała szafka obejmuje całą baterję rozmaitych przyrządów, skompletowanych przez prof. Meringa, pozwalających na ocenę jakości przetworu z matematyczną ścisłością, a nie przy pomocy oka. A więc gęstość syropu już nie jest określana staroświeckim „do perły”, albo „do nitki”, ale poprostu mierzona specjalnym przyrządem, który pozwala na skonstatowanie stopnia nasycenia. To samo dotyczy uchwycenia chwili, w której przetwór uważać można za gotowy: ocena następuje przy pomocy specjalnego termometru, którym sprawdza się chwilę osiągnięcia stopnia wrzenia, zgóry określonego dla każdego owocu.

Niepodobna wymieniać wszystkich przyrządów, które pozwalają dokonać wyrobu przetworów w sposób naukowy i niemal niezawodny. Jest to niewątpliwie duża zdobycz gospodarza, a chociaż w prywatnym domu skompletowanie wszystkich tych przyrządów byłoby zbyt kosztowne, ale już nabycie za kilka złotych termometru i przyrządu do oceny syropu może uchronić przed nierównie większymi stratami, spowodowanymi nie dość dokładnym wykonaniem przetworów. Prof. Mering kończy opracowanie podręcznika, obejmującego wszystkie wskazówki, których udzielał Chyliczankom.

W kuchni również poważne zmiany. Oprócz wielkiej kuchni urządzonej została mała kuchenka, zaopatrzone w całkowity sprzęt, dostosowany do potrzeb przeciętnego domu rodzinnego. Cztery uczennice gotują tam zupełnie samodzielnie obiady, zakupują same produkty, układają jadłospis według norm dietetycznych, gotują i porządkują bez jakiegokolwiek ingerencji nauczycielek.

W serowni mam sposobność zapoznania się z wyrobem doskonałych, pełnotłustych serów w kilku gatunkach; cała kolekcja, zabrana do domu, wzbudziła zachwyt i ubolewanie: — czemuż takich serów niema w handlu!

Piekarnia posiada obecnie dwa piece: jeden do chleba, drugi, z dolnym paleniskiem, który po jednorazowym napaleniu trzyma ciepło przez cały dzień i pozwala na pieczenie kilku seryj najrozmaitszych ciast, a nawet kilku gatunków ciast jednocześnie.

W sypialniach i na korytarzach oglądam z wielką przyjemnością prześliczne kolekcje polskich haftów etnograficznych, wykonanych z rzetelnym poczuciem stylu i charakteru. Każda gąbłotka obejmuje



Praca we wzorowym kurniku.

hafty z jednej okolicy; zastąpiły one międzynarodowe i zbanalizowane „Richelieu” i niemieckie wzory, których wszędzie pełno; i nadają robotom, wykonanym w Chyliczkach, polskie piętno.

W roku ubiegłym nie mogłam wziąć udziału w wycieczce do Chyliczek pań z Czechosłowacji i Jugosławii, które z entuzjazmem wyrażały się o naszej uczelni gospodarczej; zachwyt ich jest zupełnie uzasadniony, bo rzeczywiście nasza placówka w niczym nie ustępuje pierwszorzędnym renomowanym szkołom zagranicznym.

Bardzo ciekawym dopełnieniem wizyty w Chyliczkach stała się moja obecność przy konkursie sprawności gospodarczej pań, kończących naukę. Konkursy te były zaprojektowane na zjeździe Rady Naczelnej Gospodarczego Wykształcenia; jest to u nas nowość, zarówno dla organizatorek, jak i dla uczestniczek, mimo to próba wypadła sprawnie i systematycznie. Konkurs odbył się w Warszawie, w lokalu Koła Studjów G. D., gdzie doskonałe urządzenie pozwoliło odbyć zupełnie samodzielne i indywidualne prowadzenie pracy. Sześć pań gotowało konfiturę z wisien, a pięć smażyło kotlety; trzy nauczycielki wraz ze mną prowadziły kontrolę, notując swe uwagi co do celowego rozmieszczenia sprzętu, sposobu wykonywania roboty i czasu.

Najlepszą orientację organizacyjną wykazała p. Urbanówna, która rozdzieliła pracę przygotowawczą na dwa templa: naprzód obrywała ogonki u wisien, potem drylowała je, nastawiła syrop w chwili, gdy rozpoczęła drylowanie, dzięki temu miała gotowy z chwilą ukończenia wyjmowania pestek i ani chwili czasu nie straciła. P. Żółtowska wsypała swoje wiśnie do syropu wtedy, kiedy już prawie wszystkie konkursistki ukończyły swą czynność; było to o 14 minut później; smażyła dłużej, niż inne, lecz owoce wypełniły się lepiej syropem i były dokładnie szumowane;

konfitura miała więc inny charakter; konfitury p. Gniazdowskiej były bardzo ładnie usmażone, sprzęt praktycznie i dobrze rozstawiony. Wszystkie uczestniczki konkursu, mimo różnic w szybkości, wykazały techniczne opanowanie roboty, zręczność i łatwość w przystosowaniu się do nowego miejsca i sprzętu.

Smażenie kotletów wykazało większe różnice w gatunku potrawy, a to z powodu nie dość jasno postawionego rodzaju kotletów, które stanowiły jego zadanie. Pierwsza ukończyła robotę p. Szłowska; kotlet jej był cienki, ładnie uformowany, smażony na dużym ogniu i z tego powodu masło przywarło do patelni i było bliskie przypalenia. Jednak kotlet był prawidłowy (t. zw. sznycel) i smaczny. Zupełnie inny charakter miał kotlet p. Sybilskiej: pulchny, słabo zbity, soczysty i ładnie zrumieniony.

Dzięki konkursowi, można było dokonać całego szeregu obserwacji, które pozwolą na udoskonalenie metodyki w nauczaniu gotowania, co stanowi dla nas zdobycz nie małą. Jeśli zważymy, że każdy konkurs tego rodzaju wywołuje u uczestniczek nerwowe podniecenie, to należy podziwiać zręczność i systematyczność, z jaką młode konkursistki prace swe wykonywały.

Chciałabym dopełnić to sprawozdanie danymi cyfrowymi, ale nie zdążyłam ich przepisać, a z powodu wakacyj nauczycielek nie otrzymałam ich na czas. I bez nich jednak krótkie to sprawozdanie daje pojęcie o nowych metodach przy nauczaniu gospodarstwa i pozwala ocenić pożyteczną pracę, wykonywaną w szkole chyliczkowskiej, która nietylko daje co roku szereg wykwalifikowanych gospodyń, ale posuwa naprzód technikę czynności gospodarczych; to też nie dziwnego, że szereg chyliczanek zajmuje w różnych szkołach odpowiedzialne stanowiska, a inne postawiły gospodarstwo we własnych domach na pierwszorzędnym stopie.

M. Karczewska.



Zajęcia w ogrodzie.

Żądajmy pism kobiecych we wszystkich kawiarniach, cukierniach, domach zdrojowych i kuracyjnych, w salonach fryzjerskich, kosmetycznych, poczekalniach lekarskich.

Wszystkie te zakłady i instytucje egzystują w dużej mierze dzięki kobietom i obowiązane są, we własnym dobrze zrozumianym interesie, stosować się do wymagań i potrzeb swej klienteli.

Omijajmy i bojkotujmy zakłady, które pism kobiecych nie prenumerują; dawajmy pierwszeństwo tym, które urozględniają nasze słuszne żądania i popierają prasę kobiecą.

SKŁADAK

Współczesne gorączkowe i nerwowe życie, ciągła i ostra walka o byt oraz przeszkody, jakie każdy pokonać musi, stwarzają gwałtowną potrzebę uzupełnienia naszego normalnego życia czemś, co by dało choćby częściową rekompensatę dla skołatanych nerwów i możliwość uodpornienia się i przygotowania do dalszej walki. Z wielką pomocą przychodzą nam w tym wypadku sporty, które, wymagając wysiłku fizycznego, dają pewne odprężenie dla nerwów, przy równoczesnym wzmocnieniu organizmu.

Sporty te jednak nie powinny być jednostronne (nie mówię już o takich, które zupełnie nie nadają się dla kobiet). Jednym z wielostronnych sportów jest sport wodny, specjalnie zaś wioślarstwo, które w ostatnich czasach zostało, siłą faktów, zróżniczkowane na czysty sport dla treningu, przy którym dąży się do doskonałości celem osiągnięcia rekordów (choćby miejscowych), i na sport turystyczno-wodny, o którym chcę parę słów powiedzieć.

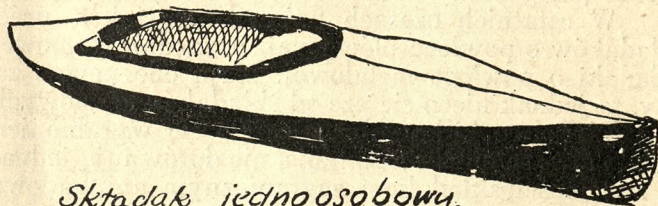
W każdym człowieku istnieje pewna żyłka wędrowek, poznawania coraz to nowych okolic, doznawania coraz innych wrażeń, które przeżywa się potem ponownie całymi miesiącami; nie wszystkim jednak danem jest przemierzanie tysięcy kilometrów w ekspresach zagranicznych i ci muszą się zadowolić turystyką na mniejsze odległości.

Cóż dopiero opowiadać o wędrownkach łodzią, czy też jeszcze lepiej kajakiem, mając za każdym zakrętem rzeki coraz to nowy krajobraz, powietrze czyste, bez wyciewów samochodowych i tumanów kurzu, wreszcie obcowanie bezpośrednio z czystą przyrodą, najmniej jeszcze przerobioną przez postępy cywilizacji. Taka wędrownka, swobodna, bez ograniczeń, daje zupełny wypoczynek nerwom, przyczem podnieść jeszcze należy niewielki koszt takich wędrowek, gdzie pierwszorzędnym hotelem staje się namiot, lub też łódź sama, w której można się świetnie wyciągnąć.

Kajaki nie są rzeczą zupełnie nową, są one raczej zapożyczone od ludów północy, eskimosów, którzy z kajakiem są poprostu zrosnięci, jak kozak z koniem. Już jako mali chłopcy, wsadzani w kajak, zaprawiają się w polowaniu na fokę, prując fale mórza północnych, walcząc niejednokrotnie z niebezpieczeństwem śmierci. Pierwszym, który zastosował kajak do celów sportowo-turystycznych, był szkot Mac Gregor; w ubiegłym stuleciu opłynął on kajakiem Anglję i zwiedził wiele rzek europejskich; słusznie też nazwany jest ojcem sportu kajakowego.



Szkielet składu



Składak jednoosobowy.

Sport ten rozwijał się wolno, mimo zastosowania żagli przez Baden Powell'a. Właściwy jego rozwój zapoczątkowany został przez architekta niemieckiego Heurich'a z Monachjum, który w roku 1905 zbudował kajak składany, krótko „składakiem” zwany. W tym samym roku zaczęto składaki produkować masowo, rozpowszechnieniu ich jednak przeszkodziła wojna.

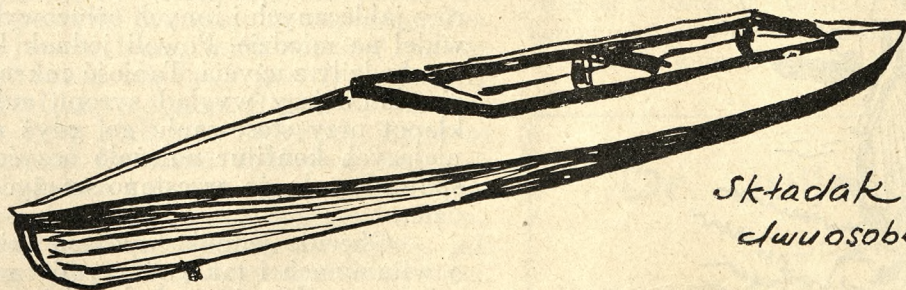
Po wojnie jednak sport składakowy znakomicie się rozwinął i setki tysięcy składaków wędrują w Anglii i Niemczech w upalne dni świąteczne, dając ich właścicielom najlepszy wypoczynek.

Składak stworzył nowe pole dla turystyki wodnej, gdyż daje się łatwo składać i przenosić, ewentualnie przewozić w wagonie kolejowym bez narażania na specjalne koszty.

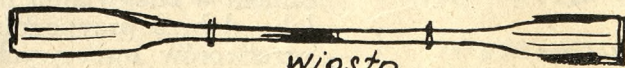
Cały szereg fabryk zagranicą trudni się jedynie wyrobem składaków, co najlepiej świadczy o ich wielkim rozpowszechnieniu i użyteczności.

W ogólnych zarysach składak posiada szkielet z lekkich listewek drewnianych, dających się łatwo złożyć z żeberkami wzmacniającymi, oraz powłoką, która w dobrych kajakach składa się z warstw mocnego płótna i gumy naprzemian (5-ciokrotna, a nawet 7-miokrotna). Powłoka ta jest absolutnie szczelna i posiada jeszcze i tę zaletę, że w razie uszkodzenia łatwo można ją naprawić przez naklejenie łatki gumowej. Wierzch kajaka jest pokryty płótnem żaglowym, oraz gumowym pokrowcem, chroniącym od fal.

Składak złożony przedstawia dwie niewielkie paczki, których łączna waga nie przekracza 30 kg. i które z łatwością przenoszą dwie osoby. Długość przeciętna składaka rozłożonego zależy od tego, czy jest



Składak dwuosobowy



Wiosło

on na dwie, czy na 1 osobę. Jednoosobowy ma długości około 4,30 m., szerokości w środku 72 cm. i wagę około 16—20 kg. Dwoosobowy — długość 5,20, szerokość 90 cm. i wagę 25—30 kg. Nieco inne są wymiary składaków regatowych, które służą raczej do zawodów, aniżeli do dłuższych wycieczek.

Przy nabraniu pewnej wprawy zarówno składanie, jak i rozkładanie całego kajaka zajmuje niepełna pół godziny.

W ostatnich czasach pojawiły się także, prócz składaków o powłoce płóciennej, względnie gumowej, składaki o powłoce metalowej. Mają one pewne zalety, są jednak nieco cięższe od składaków gumowych.

W Polsce kilka fabryk zajęło się wyrabianiem składaków; są one bardzo tanie, nie dorównują jednak w zupełności składakom zagranicznym ani budową, ani wykończeniem.

Podczas gdy łódź zwykła, wiosłowa, nie nadaje się do dalekich wędrówek, gdyż trudno poruszać się w górę rzeki, a transport kolejowy jest zbyt drogi — największa ta bolączka przy składaku zupełnie odpada. Daje on bardzo wielką swobodę ruchów, pozwalając na korzystanie nie tylko z dróg wodnych, ale i z innych środków komunikacji. Daje to możność wybierania do wędrówek dowolnych odcinków rzek. Małe zanurzenie kajaka pozwala na przepływanie nawet rzek górskich, naturalnie, z zachowaniem pewnych ostrożności ze względu na ostre kamienie, które łatwo mogą uszkodzić powłokę.

Posuwanie się naprzód uskutecznia się przy pomocy obustronnego wiosła, zagarniając wodę naprzemian raz z jednej, raz z drugiej strony. Ruchy te wyrabiają nadzwyczajnie mięśnie rąk i mięśnie barkowe. Pomocnym przy kierowaniu jest ster, bez którego jednak można się obejść, uzupełniając jednostronnem zarabianiem wiosłem. Siedząc spokojnie, wygodnie na poduszkach na dnie kajaka, płyniemy z wodą, pochłaniając powoli kilometry i napawając oczy nasze pięknymi widokami przybrzeżnych okolic, które zmieniają się przed nami, jak w kalejdoskopie.

W ten sposób można, nocując nad brzegiem, a nawet w przybrzeżnej chacie, spędzić wywczas, zyskując prócz zdrowia, niezatarte wspomnienia.

Niema nic piękniejszego, jak śliczny poranek nad brzegiem rzeki, widok wschodzącego słońca; nieprzepartry urok posiada również wędrówka wodna przy świetle księżyca. A jeśli nawet żeglugę naszą przerwie deszcz lub gwałtowna wichura, kajak służyć nam będzie, jako zupełnie wygodne schronienie, po przewróceniu go dnem do góry.



W drodze na wycieczkę



z wiatrem.

Naturalnie, że prócz kajaka (względnie składaka) na takie wycieczki należy się zaopatrzyć w racjonalne ubranie, nie ciężkie, a jednak wystarczająco ciepłe, gdyż ranki i wieczory nad rzeką są chłodne, oraz w zapas żywności, o którą nieco trudniej nad brzegami naszych rzek.

Nie jesteśmy tu tak bardzo ograniczeni, jak przy zwykłych wycieczkach, gdzie cały ciężar musimy nosić na sobie, można tu sobie pozwolić na zabranie nieco większej ilości rzeczy, na pewien komfort, na pomieszczenie bowiem posiadamy w składaku wystarczająco miejsca i zprzodu (w dziobie) i ztyłu (w sterze). Należy jednak mieć na uwadze, że od czasu do czasu wypadnie nam składak przenieść (na bardzo płytkich miejscach, lub na mieliznach), lub też złożyć, by przetransportować do pociągu, czy autobusu, a wtedy każdy niepotrzebnie zabrany drobiazg daje się odczuć.

Na zakończenie podkreślę, że składaki i kajaki nadają się raczej do wędrówek, aniżeli do wyrobienia sportowego, gdyż tu pracują jedynie tylko mięśnie rąk i barki. Natomiast dla równomiernego wyrabiania nóg i wogóle wszystkich mięśni lepiej się nadają łodzie.

Składaki jednak przy dalekich wędrówkach na bystrych rzeczkach są niezastąpione, gdyż zwrotność ich jest bardzo wielka i nie wymagają tyle miejsca, co zwykłe łodzie.

Panie niech pamiętają, że najlepszym środkiem do zachowania młodości jest sport wogóle, w szczególności zaś sport wodny, który oprócz zdrowej cery i wypoczynku dla nerwów daje dużo radości życia w obcowaniu z przyrodą, zachowaną jeszcze w swej pierwotnej krasie nad brzegami rzek. *Emka.*

KONFITURY NA MIODZIE

Dawno o nich zapomniano. W starych książkach kuchennych i gospodarskich było mnóstwo przepisów smażenia różnych suchych i syropowych konfitur, serów jabłecznych i innych owocowych, marmelad i powideł na miodzie. Powoli jednak konserwy miodowe wychodziły z użycia. Taniość cukru, łatwość jego użycia, ładniejszy wygląd syropu cukrowego, mniejszy kłopot przy stosowaniu go, gdyż miód do wykwentniejszych konfitur należało oczyścić — wszystko to spowodowało, że przestano smażyć konfitury na miodzie.

Obecnie jednak, w czasie, kiedy tyle się mówi o witaminach i takie olbrzymie znaczenie tym witaminom w odżywianiu ludzkości przypisuje, może byłoby dobrze przypomnieć sobie o użyciu miodu do przetworów owocowych, gdyż miód ogromną ilość tych witamin posiada, cukier zaś — skądinąd po-

teżny środek odżywczy — witamin (po polsku — żyćianów) zupełnie jest pozbawiony. Oczywiście, miód jest znacznie droższy od cukru, co też gra ogromną rolę w zaniechaniu jego użycia. Ten взгляд jednak stanowi przeszkodę tylko dla tych, którzy zmuszeni są miód kupować, gdyż miód do handlu musi być absolutnie czysty, pierwszego gatunku, a stąd dosyć kosztowny.

Panie, jednak, mieszkające na wsi lub w małych miasteczkach i posiadające własne pasieki, mogą na konfitury i inne przetwory owocowe użyć pośledniejszych, do handlu się nie nadających, gatunki miodu, oczywiście, po należytem odczyszczeniu i spreparowaniu.

Więc miód ze starych plastrów, ciemniejszy i nieładny; potem taki, co przy wytapianiu lub wycedzaniu pozostał w woszczynach, należy starannie zebrać, woszczyny kilka razy wyplókać, aby całą słodycz z nich wydostać. Taki słodki płyn zlewa się do miedzianek mosiężnych, lub do dużego rondla emalowanego i gotuje wolno, aż nabierze konsystencji syropu cukrowego, używanego na konfitury. W trakcie gotowania zbiera się starannie wszelkie fusy i szumowiny. Takiego miodowego syropu już można używać do smażenia marmelad, serów jabłecznych lub powideł owocowych. Do smażenia konfitur syropowych należy jednak miód oczyścić.

Spotka mnie zarzut, że obecnie nikt prawie miodu nie wytapia, ani wycedza, gdyż wszędzie się miód na miodarkach centryfuguje i puste plastry wosku napowrót do uli odkłada. Tak jest rzeczywiście, jednak przy najdokładniejszej robocie zawsze część plastrów się złamie, czasem trzeba wyciąć kawał plastra, zrobionego ponad ramkę, lub pomiędzy ramkami, czasem trzeba wyciąć kawałek starej, ciemnej woszczyny, jeszcze częściowo napełnionej miodem; trafiają się plastry z chlebem pszczelnym, których centryfugować nie można, bo popsułyby cały towar; wszystko to daje materiał na ten gorszy, mniej cenny miód, który możemy użyć na konserwy.

Najprostszy sposób oczyszczania miodu polega na wygotowaniu go z wodą. Bierzemy równą ilość miodu i wody miękkiej i zagotowujemy w kotle. Gdy płyn zawrze, zanurzamy weń kawałek rozpalonego żelaza. Czynność tę powtarzamy razy pięć do siedmiu. Ma to niszczyć specyficzny zapach miodu, który nie wszyscy lubią, ale który, według mnie, właśnie stanowi jego najważniejszą zaletę.

Wszelkie fusy i męty zbierają się na powierzchni miodu w postaci szumowin i należy je łyżką zwyczajną lub durszlakową usunąć. Gdy syrop zupełnie się sklaruje i zgęstnieje, można go natychmiast używać, lub też ostudzić i trzymać w słojach, czy w butelkach do chwili użycia. Trzeba go jednak trzymać w chłodzie, lub też, po wysmażeniu, na każdy litr płynu dodać pół pastylki benzoesu, co zapobiega fermentacji. Chcąc jeszcze lepiej miód oczyścić, należy już przegotowany syrop miodowy powtórnie rozprowadzić wodą i przefiltrować przez flanelowy lub barchanowy worek. Trzy białka ze świeżych jaj wraz z drobno utłuczonymi łupinami dokładnie zmieszać z tym chłodnym płynem i razem zagotować. Na powierzchni zbierze się obfita piana szumowin, a po usunięciu jej syrop pozostanie absolutnie czysty, jak kryształ. Należy go poraz drugi wysadzić do gęstości.

Sposób kijowski oczyszczania miodu — zapomocą dodawania doń kredy, węgla lipowych i t. p. — jest tak skomplikowany, że go nie podaję. Wogóle mam wrażenie, że pozbawianie miodu smaku, zapachu, ko-

loru i t. p. dobre było wtedy, kiedy cukier był większą od miodu rzadkością, i kiedy chodziło właśnie głównie o upodobnienie go do cukru. Dzisiaj, smak i aromat miodu są tak cenione, że należy je przedewszystkiem zachować. Klarowanie więc polegać powinno tylko na usunięciu nieczystości, a sposób, wyżej podany, zupełnie w tym celu wystarcza.

Chodzi teraz o to, co na takim syropie miodowym usmażyć można?

Przedewszystkiem, nie należy smażyć na nim ani cytryn, ani pomarańcz, ani nawet pomarańczowych skórek, gdyż te owoce, smażone na miodzie, twardnieją i nie są smaczne.

Należy smażyć przedewszystkiem jabłka i gruszki, gdyż połączenie ich smaku i aromatu ze smakiem i aromatem miodu, jest specjalnie dobre. Dalej — borówki, zarówno na konfiturę właściwą, jak i na powidła, czyli konfiturę mniej słodką, sałatową. Wykwintny smak mają wiśnie, smażone w miodzie, i tak samo smażony głóg. Bardzo zdrową konfiturą, zalecaną specjalnie dla chorych na hemoroidy, jest jarzębina na miodzie. Należy używać jarzębiny dobrze przemarzniętej i przed smażeniem lekko upieczonej w piecu.

Wszelkie sery owocowe: z jabłek, gruszek i śliwek — nabierają właściwego smaku dopiero, jeżeli są smażone na miodzie, lub chociaż na cukrze, lecz z dużym dodatkiem miodu. Wszelkie marmelady i powidła, niezależnie od tego, z jakich owoców są robione, można z powodzeniem smażyć na miodzie. Na miodzie robi się wyborną rosyjską pastilę — rodzaj lekkiej marmelady, nadzwyczaj smacznej i wybornie się konserwującej. Nakoniec na miodzie smaży się suche konfitury, szczególnie z gruszek i jabłek.

Nie jestem zupełnie pewna, czy po takim długim gotowaniu i smażeniu wszystkie witaminy-żyćiany pozostaną w miodzie, — niech na to odpowiedzą moje koleżanki-chemiczki, których coraz więcej poświęca się piśmiennictwu kulinarnemu; ja zaś zawsze jestem gotowa ponosić odpowiedzialność tylko za smak podawanych przeze mnie przepisów.

Fani Elżbieta.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

KURCZĘTA NADZIEWANE MAKARONEM.

Makaron domowy lub wermiszel kupny (ten ostatni w bardzo dobrym gatunku, aby nie miał kwasu, co, niestety, często się zdarza) ugotować w osolonym wrzątku, tylko tyle, aby nie chrupał pod zębami. Posiekać lub pokrajać jaknajdrobniej, zmieszać z roztopioną słoninką, biorąc na piętnaście deka makaronu pięć deka słoninki. Wątróbki, żołądki i serca z czterech (lub pięciu) kurcząt przepuścić przez maszynkę, dodać dużą

Dr. Julja Świtalska

powróciła

INSTYTUT PIĘKNOŚCI I ZDROWIA

Warszawa, Krucza 31 m. 3. Tel. 102-77.

330

garść koperku siekanego i pietruszeczki, jedno duże, lub dwa małe jaja surowe, wymieszać z makaronem, osolić do smaku, nadziewać kurczętą i piec, jak zwykle. Bardzo smaczne i oryginalne nadzienie w braku tartej buleczki.

KACZKA W KASZCE.

Piętnaście deka drobnej kaszki krakowskiej zatrzeć jajkiem i ususzyć w piecu. Ugotować na sypko z łyżką masła, osolić, ostudzić. Młodą kaczkę wraz z dróbkami ugotować z włoszczyzną i korzeniami na zupę. Dziesięć deka pieczarek lub kilka młodych grzybków prawdziwych (borowików) pokrajać w paski, poddusić w maśle, zasypać łyżką mąki, zasmażyć, rozprowadzić dwiema szklankami rosółu z kaczki. Rosół powinien być wystudzony, aby się nie porobiły kluseczki. Można też wziąć półtorej szklanki rosółu, a dodać pół szklanki śmietany. Sos ten powinien być zawiesisty.

Kaczkę rozebrać, usuwając z niej grubsze kości. Dróbka pokrajać w paski, wątróbkę oddzielnie ugotować lub usmażyć (gotowana w rosolu, daje mu goryczkę). Foremkę ogniotrwałą wysmarować masłem, wysypać buleczką, włożyć w nią połowę kaszki. Na kaszce ułożyć pokrajaną kaczkę i dróbka, zalać grzybowym sosem. Przykryć drugą połową kaszki, posypać ostrym, tartym serem, położyć parę małych kawałeczków masła i wstawić w dobrze gorący piec na kwadrans, lub dwadzieścia minut. Można tę potrawę podawać wraz z foremką, lub też wyrzucić na półmisek. Kto chce do niej podać oddzielnie sos, powinien zrobić tego sosu podwójną proporcję — drugą połowę poda wtedy w sosjerce.

KAPUSTA FASZEROWANA PO TURECKU.

Dużą, lecz nieciśłą głowę kapusty sparzyć wrzątkiem, ocedzić, podzielić na liście; grube zeberka z tych liści powycinać. Pół kilo baraniny ugotować, jak na rosół, z włoszczyzną, dodając dwie duże cebule i sześć do dziesięciu fig. Mięso i jarzyny wyjąć, a na tym rosolu ugotować na sypko piętnaście deka ryżu. Baraninę, cebule, włoszczyznę i figi posiekać drobno, zmieszać z ryżem, dodać dwa lub trzy pomidory surowe, również posiekane, osolić do smaku, nieco popieprzyć, lub dodać łyżeczkę łagodnej papryki. Nadziewać tem liście kapusty, związać, jak zwykle gołąbki. Ułożyć w płaskim rondlu, podlać resztą rosółu z baraniny, położyć pomiędzy gołąbki kilka pomidorów, przekrajanych na ćwiartki. Dusić wolno pod pokrywą, często potrząsając rondlem, aby do dna nie przyszło. Podawać bardzo gorące.

BORÓWKI Z MIODEM.

Konfitura ta jest szczególnie zdrowa dla dzieci. Cztery kilo przebranych, dojrzałych, lecz nie przejrzałych borówek sparzyć trzy razy wrzątkiem na przetaku, każdy raz starannie wodę odsączając. Dwa kilo miodu zagotować z litrem wody, wrzucić na to borówki, wymieszać i smażyć na wolnym ogniu, często mieszając. Wrzucić pięć goździków, kawałek cynamonu i trochę skórki pomarańczowej, drobno pokrajanej. Nakoniec dodać kilo

jablek winkowatych, obranych i pokrajanych na ćwiartki. Gdy jableka się rozgotują, miedniczkę z konfiturami odstawić od ognia. Jeszcze ciepłe konfitury składać do słoików lub garnków. Nazajutrz dopiero obwiązywać słoje pergaminem lub zaklejając szklanym papierem.

GRUSZKI SUCHE W MIODZIE.

Gruszki twardego gatunku obrać z łupin, używając do obierania kościanego lub srebrnego noża. Jeśli takiego nie mamy, a obieramy stalowym, wrzucić natychmiast po obraniu do zimnej wody, lekko zakwaszonej cytryną lub kwaskiem. Łupiny — o ile gruszki są gatunku słodkiego i aromatycznego — ugotować, aż zmiękną zupełnie, przecedzić i na tej wodzie ugotować syrop miodowy, biorąc litr syropu, gęstego, miodowego na litr smaku z lupinek. Włożyć gruszki w ten płyn i gotować, aż tak zmiękną, że łatwo słomką przekłuć się dadzą. Gruszki się wyjmują, rozkłada na przetakach i dokładnie studzi. Syrop się wysadza do gęstości czystego miodu i studzi; macza się w nim gruszki i wstawia do letniego pieca dla obsuszenia.

Czynność tę powtarza się po kilka razy. Gdy gruszki dobrze nasiąkną syropem i doskonale obwiezną, splaszczą się je drewnianą łyżką lub walkiem, układa ściśle w blaszanki lub słoje i przechowuje do użycia. Można je też przesmażyć parę razy w już wysadzonym syropie i przechowywać w słojach a tylko, w miarę potrzeby, pewną ich część osuszać.

MŁODA KAPUSTA DUSZONA

Dużą główkę młodej, letniej kapusty pokrajać na sześć do ośmiu części, krając przez środek głębia, aby się części nie porozpadały. Sparzyć ukropem, potrzymać w nim minut dziesięć, aby się gorycz ulotniła. Dużą cebulę uszatkować, poddusić w łyżce masła, nie rumieniąc. Kapustę ułożyć do rondla, dodać cebulę z masłem, wlać szklankę mięsnego rosółu, lub wody z rozpuszczonym kawałkiem buljonu (jak mały, włoski orzech), drugą szklankę białego wina (może być owocowe), wsypać łyżkę cukru, osolić do smaku, wrzucić listek, parę ziarn pieprzu i ziela, jeden goździk. Wlać łyżkę dobrego octu, lub sok z pół cytryny. Dusić na wolnym ogniu, często potrząsając rondlem. Gdy kapusta zmięknie, przełożyć na półmisek i obłożyć parówkami, smażoną kielbasą, wieprzowem i lub wołowem kotletami.

Pani Elżbieta.

DROBNE OGŁOSZENIA

POSZUKUJĘ ZAJĘCIA samodzielnej zarządczyni domu u osób starszych samotnych, chętnie na wsi, lub też przy rodzinie jako pomoc w wychowaniu młodszych dzieci. Jestem spokojna, łagodna a w wyżej wspomnianym kierunku mam praktykę. Łaskawe zgłoszenia proszę kierować do Redakcji „Bluszczu“ dla J. K.

STUDENTKA poszukuje posady/nauczycielki, wychowawczyni, sekretarki lub jakiegokolwiek innej, umożliwiającej naukę tylko w Warszawie. Warunki bardzo skromne. Łaskawe zgłoszenia w Administracji.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartainie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz“. Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Przestępstwo.

Obok licznych głosów kobiecych, omawiających w „Mównicy“ tak ważną sprawę art. 141 — 142, zamieszczamy fachowy artykuł prawnika, przedstawiający tę kwestję w świetle różnych kodeksów, oraz zawierający konkretny projekt jej kodyfikacji. *Redakcja.*

Bez względu na to, czy przyjmiemy terminologję ustawy rosyjskiej, mówiącej o *zabiciu płodu*, austriackiej — o *spędzeniu płodu, lub spowodowaniu poronienia*, czy wreszcie niemieckiej — o *spędzeniu, lub zgładzeniu płodu* — zawsze chodzić będzie o działanie, polegające na pozabawieniu życia płodu, znajdującego się w łonie matki, lub spowodowaniu jego przyjścia na świat niezżywym.

Stąd też bądź w motywach ustawodawczych, bądź w tekście ustawy należy zaznaczyć, że spędzenie płodu rozumie się w szerokim ujęciu tego słowa, t. j. jako sprowadzenie poronienia (*l'avortement*), jakoteż zabicia płodu w łonie matki (*foeticide*).

Najstarsze prawo rzymskie oddawało spędzenie płodu (*procuratio abortus*) władzy ojca rodziny i opiece cenzora. Państwowa kara wkracza w tej sprawie dopiero za *Septimusa Severusa*. Stan przestępny kobiety polegał na oszukiwaniu małżonka, który zawierał małżeństwo, spodziewając się potomstwa, a płód nie korzystał z samoistnej opieki, gdyż stoicka filozofja prawników rzymskich traktowała płód nieurodzony, jako część organizmu matki (*mulieris portio*).

Doktorzy Kościoła, biorąc *asumpt* z księgi drugiej *Pentateuchu*, uważają spędzenie żywego płodu za zabójstwo (*homicidium*), ale płód uważali za żywy dopiero w okresie 6 — 10 tygodni od poczęcia.

Constitutio Criminalis Carolina stanowiła, że kto kobiecie przemocą, jadłem lub napojami spędza żywe dziecko w sposób umyślny lub złośliwy, ma być ukarany śmiercią: mężczyzna przez ścięcie mieczem, jak zabójca, a kobieta, choćby to na sobie uczyniła, przez utopienie lub inne uśmiercenie. Kar tych jednak nie stosowano, jeżeli spędzenie dotyczyło martwego dziecka (*foetus non animatus*).

Medycyna nie dzieli płodów na żywe i martwe, a kodeks kanoniczny z r. 1917 (*Codex Iuris Canonici*, can. 2350) karze spędzających płód (*procurantes abortus*) bez względu na to, kto jest winowajcą (*matre non excepta*), w ciągu całego okresu ciąży, od poczęcia do urodzenia, a więc bez legalizacji spędzenia płodu bezdusznego w okresie dziesięciodniowym od poczęcia.

Kodeks karny republik sowieckich i kodeks karny stanu *Texas* (1895) nie karzą kobiety spędzającej własny płód, a kodeks karny estoński z 1929 r. w § 193 darzy bezkarnością matkę przerywającą ciążę przed wpływem trzech miesięcy od chwili poczęcia. Projekt Komisji Kodyfikacyjnej ustala karalność spędzenia płodu w ciągu całego czasu ciąży t. j. od chwili poczęcia do porodu.

Komisja Kodyfikacyjna Rzeczypospolitej Polskiej w dniu 16 maja 1920 r. przyjęła karalność działania w zamiarze usunięcia płodu, odrzucając przytem zupełną bezkarności ciężarnej, spędzającej płód.

(Komisja Kodyfikacyjna R. P. Wydział karny. Sekcja prawa karnego. Tom I, zeszyt 2, Lwów 1922, str. 21—24).

Na podstawie uchwał sekcji prawa karnego Komisji Kodyfikacyjnej ułożyli projekty: profesor *Wacław Makowski*, b. Minister Sprawiedliwości (Komisja Kodyfikacyjna R. P. Sekcja Prawa karnego. Tom IV, zeszyt 1, Warszawa 1926) i poseł na Sejm i profesor *Juljan Makarewicz*, senator (Komisja Kodyfikacyjna R. P. Sekcja Prawa Karnego. Tom IV, zeszyt 2, Lwów 1926). Potem sekcja prawa karnego Komisji Kodyfikacyjnej przyjęła w dwu czytaniach projekt kodeksu (Komisja Kodyfikacyjna R. P. Sekcja Prawa Karnego. Tom V, zeszyt 2, str. 42 i n.), który w tej kwestji w rozdziale XXXIV (*Przestępstwa przeciwko życiu i zdrowiu*) zawiera przepisy:

art. 225. Kobieta, która płód swój spędza, lub pozwala na spędzenie go przez inną osobę, ulega karze więzienia do lat 5.

art. 226. Kto za zgodą kobiety ciężarnej płód jej spędza, lub jej przy tem udziela pomocy, ulega karze więzienia do lat 5.

art. 227. Sprawca czynu z art. 225 i 226 nie ulega karze, jeżeli zabieg był dokonany przez lekarza i przytem był konieczny ze względu na zdrowie matki, dobro rodziny, lub ważny interes społeczny.

art. 228. Kto bez zgody kobiety ciężarnej płód jej spędza, ulega karze więzienia do lat 10.

art. 224... § 2. Jeżeli śmierć wynika z spędzenia płodu, sprawca ulega karze więzienia do lat 10.

Proponuję tekst poniższy:

art. 225. Kobieta, która płód swój spędza, ulega karze aresztu do roku.

art. 226. Kto kobiecie ciężarnej płód spędza, lub jej przy tem udziela pomocy, ulega karze aresztu do lat 2.

art. 227. Spędzenie płodu przez kobietę ciężarną, lub za jej zgodą nie ulega karze, jeżeli zabieg był dokonany przez lekarza i przytem był polecony przez lekarza urzędowego, jako konieczny, ze względu na zdrowie matki, dobro rodziny, lub ważny interes społeczny.

art. 228. Kto bez zgody kobiety ciężarnej płód jej spędza, ulega karze więzienia do lat 5.

art. 224... § 2. Jeżeli śmierć wynika ze spędzenia płodu, sprawca ulega karze więzienia do lat 10, przyczem uzasadniam propozycję w sposób poniższy:

Moralność, religja i prawo potępiły spędzenie płodu. W dyskusji, wszczętej przez Redakcję artykułem: „Zanim klamka zapadnie“, padały słowa oburzenia, wskazywano na to, że mamy do czynienia ze złem i grzechem.

Było to oświetlenie z punktu widzenia etyki i religji. Stanowisku temu nie muszą towarzyszyć drażliwe kary. Bezspornie najbardziej zapobiegawczo działać będzie siła wychowania religijnego i etycznego. Każda z kobiet, udzielając poady poufnej swej sąsiadce lub przyjaciółce, może ją od tego zła i grzechu powstrzymać. Przekroczenie tego zakazu religji i etyki spotyka się z reakcją towarzyską.

Spędzenie płodu jest przestępstwem. Jednak musimy sobie zdać sprawę z tego, że w tym wypadku mamy do czynienia z wdzieraniem się władzy państwowej w domenę poufnego bytowania jednostki.

Prawo stoi na straży moralności i religii, jednak kieruje się przede wszystkim względami polityki prawnej, a prawo karne opinją polityki kryminalnej.

Minęły już czasy, gdy przedmiotem ochrony w przestępstwie spędzenia płodu był interes rodziny. Ostatnią reminiscencją rzymskiego ojca rodziny, oszukanego przez żonę, spędzającą płód, jest prawo angielskie, które powyższe przestępstwo zawsze uważa za przestępstwo przeciwko interesom familijnym i moralności.

W świecie naukowym obecnie niepodzielnie króluje zasada zaliczania spędzenia płodu do grupy przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu, przyczem chodzi tu zawsze jednocześnie o życie i zdrowie matki, jak i płodu.

W prawie karnem uznana jest zasada wyższej konieczności. Jeżeli więc lekarz orzeka, iż matka porodu nie przeżyje, to nikt nie będzie kwestjonował, że, mając wybór między ratowaniem matki w sile wieku, a płodem, ratować należy życie cenniejsze; chyba, że matka sama się zgodzi na śmierć, ustępując miejsca następnemu pokoleniu.

W czasie istnienia ostrych i bezwzględnych zakazów spędzania płodu, zabiegi te wykonywane są przez znachorów, którzy często doprowadzają do skutków śmiertelnych: ginie wtedy i płód i matka. Tych, którzy nie rozumieją tragizmu sytuacji, należy posłać do szpitali, niech się przekonają, ile biednych kobiet odchodzi ze świata za swoją ciemnotę i biedę. Może wreszcie ustanie barbarzyństwo znachorów.

Stawiając tedy na straży płodu, matki i ogólnej polityki populacyjnej zakaz z art. 225, należy zezwolić na zabiegi w celu ratowania matki. Do rozmnożenia się liczby karalnych poronień przyczynia się niewątpliwie upadek pojęć etycznych i religijnych naszych czasów. Poważną jednak rolę odgrywają szczególne warunki społeczne (dzieci nieślubne), gospodarcze (nędza) i prawne (poczucie z przemocy). Siła obawy przed hańbą z powodu urodzenia dziecka nieślubnego lub nawet kazirodczego, albo strachu przed utratą pracy z powodu położenia jest dotychczasowa, że udaremnia przepis karny, który dotychczas działał naoslep, uderzając przypadkowo i w osoby najmniej winne.

Narówni ze zdrowiem matki stawia się słusznie dobro rodziny i ważny interes społeczny, jako okoliczności, uchylające karalność za spędzenie płodu.

W toku dyskusji w „Naszej Mównicy“, przepisy powyższe zaatakowano, przyczem, jakby dla ironji, kazano cierpieć kobiecie brzemiennie tak, jak cierpi żołnierz, narażający swoje życie.

Kobieta, kochająca życie rodzinne, dąży do macierzyństwa bez pomocy kodeksu karnego i wtedy jest pożyteczną obywatelką: naraża swoje życie w imię miłości własnej, bliźniego i w imię dobra Narodu. Ale w imię czego ma cierpieć zgwałcona i zapłodniona przez syfilityka piętnastoletnia, niewinna dziewczyna? Żołnierz na froncie walczy o Wolność Narodu, wykazuje, że Honor i Wolność Narodu więcej znaczą, niż życie; ofiara zaś tej dziewczyny poniesiona jest nie w imię szczytnych haseł. Znęcanie się takie ukróca projekt Komisji Kodyfikacyjnej, zezwalający na zabieg lekarski dla dobra rodziny i ważnego interesu społecznego.

Zezwalając na zabieg lekarza, uratuje się rzesze kobiet, ginących dotychczas tragiczną śmiercią z powodu tajnych zabiegów znachorów, nie przestrzegających zasad medycyny i higieny. Krwawy ten plon wola o pomstę do nieba i na nic nie zda się porównanie trupiarni szpitala kobiecego z pobojo wiskiem.

Żaden lekarz nie zgodzi się na zabieg, jeżeli za wynik śmiertelny grozić będzie 10 lat więzienia i dla

tego zmieniłem następne zdanie w artykule 227; podobnie nie będzie chciał przeprowadzić zabiegu, nie mając pewności, czy sąd orzekający będzie podzielał zdanie jego o tem, że np. dobro rodziny zabiegu wymaga, lub że dany interes jest ważny (art. 227 na końcu). Należy tedy nazwać rzecz po imieniu, lub też umożliwić niewątpliwie otaksowanie stanu faktycznego przed zabiegiem. Konieczność tę mógłby ustalać sędzia, ale ten znów nie może rozstrzygać o tem, czy zabiegu wymaga zdrowie matki. Wobec czego należy oddać prawo decyzji lekarzowi. Temuż lekarzowi, jako obywatelowi, można powierzyć decyzję w sprawie, czy zabiegu wymaga dobro rodziny. Ważny interes społeczny wiąże się z ogólną polityką populacyjną, a zatem głos ma również społeczeństwo, na którego barkach spoczywa obowiązek pieczy nad biednymi.

Skoro więc uwiedziona żebraczka musi urodzić dziecko, to o tym obowiązku społecznym niechaj decyduje przedstawiciel tej gminy, na którą, z mocy prawa, spada obowiązek pomocy w razie urodzenia dziecka.

Tem tłumaczy się, że żądam zabiegu lekarza, ale po stwierdzeniu konieczności zabiegu przez lekarza *urzędowego* (reprezentującego Państwo lub Samorząd), i który łączyć będzie znajomością medycyny z samopoczuciem obywatelskim i urzędową odpowiedzialnością za dobrobyt gminy i jednostki.

W art. 225 opuszczam część drugą. Karać należy działanie. Nie wolno spędzać płodu, a skoro kobieta ciężarna namawia do spędzania, musi to uzewnętrznić i wtedy odpowiadać będzie za podżeganie do przestępstwa. Jeżeli jednak zachowuje się biernie, to kara jest krzywdząca. Niedošwiadczone dziewczę opowiada swoje przygody. Matka z awanturą ciągnie je do lekarza. Dziewczę milczy i toleruje zabieg. Wystarczy przecież kara, nałożona na operatora i matkę dziewczęcia.

Opuszczenie części drugiej art. 225 ma znaczenie praktyczne, gdyż umożliwi ściganie znachorów, co dotychczas było niemożliwe z uwagi na to, że operowana, matka i znachorka odpowiadały narówni przed prawem.

W artykule 226 opuściłem słowa „za zgodą kobiety ciężarnej“, gdyż to a contrario wynikło z art. 228, który kwalifikuje karę za spędzenie płodu w razie braku zgody kobiety ciężarnej.

Kary zmieniłem, ale tylko w ten sposób, by nie raziły w porównaniu z innymi przepisami tegoż projektu Komisji Kodyfikacyjnej. Nie brałem pod uwagę głosów, żądających 10 lat więzienia za spędzanie płodu. Musi przecież być jakieś stopniowanie. Jeżeli za spędzenie płodu 10 lat więzienia, to za zabójstwo dziecka nieślubnego wyznaczymy bezterminowe więzienie, za zabójstwo w uniesieniu karę śmierci. I co dalej? Za zabójstwo z zasadzki ćwiartowanie. Za zabójstwo, połączone z okrucieństwem, rozpruwanie wnętrzości i spalanie. Na szczęście, kary takie już zniesiono. Kary należy obniżyć. Może zmniejszy się liczba samobójstw skompromitowanych pańien. Odebrać sobie życie wraz z życiem płodu wolno bezkarnie, a jeżeli spędzi płód, to grozi więzienie. Wystarczy niehańbiący areszt od siedmiu dni do jednego roku.

Zresztą, czy to jest sprawiedliwe, by za nieumyślne zarażenie syfilisem zagrozić dwuletnim więzieniem (art. 229, § 2), a za to, że zarażona z ciemnoty wbrew prawu sama płód swój spędzi, grozi jej 5 lat więzienia (art. 225).

Za spędzenie płodu za zgodą kobiety ciężarnej wystarczy kara podwójna, t. j. do dwu lat aresztu (art. 226) i dopiero spędzenie płodu bez zgody ciężarnej, należy ukarać zamknięciem hańbiącym, t. j. więzieniem do lat 5.

Kończę te słowa kreślone z wiarą, że będą wysłuchane przez kodyfikatorów oraz przez szerokie rzesze kobiet, które mają prawo i obowiązek upominać się o dobro i sprawiedliwe prawa narazie w Komisji Kodyfikacyjnej, później w ciałach prawodawczych, stale i uporczywie propagując swoje postulaty, byle we właściwym czasie, zanim klamka zapadnie

Sędzia Karol Czałczyński — Warszawa.

Kolonje i obozy.

W pensjonacie i okolicznych willach zaniepokojenie i niechętnie pomruki:

— Dziś wieczorem przyjedzie kolonja!

— Będzie tu gwaru i krzyku co niemiara!

— A tak było cichutko, spokojnie, swobodnie!

Rzeczywiście, późnym wieczorem zjechało około czterdziestu dziewcząt, ale nikt ich prawie nie słyszał, ani nie widział.

— Bo były zmęczone, ale jutro zobaczycie!

Nazajutrz już o wpół do siódmej rano rzeczywiście zobaczyłam naprawdę śliczny obrazek: na zielonej łące, skrzęcej się od rosy, w porannym słońcu stała karna gromadka dziewcząt w kąpielowych kostjumach, świecąc bielą smukłych nóg i ramion, które rytmicznym ruchem wznosiły się i opadały. To gimnastyka. Potem rozsypały się, jak motyle, na brzegu rzeki, aby się umyć. W otwartych oknach i na ganekach pierwszego piętra wietrzyła się pościel, a w kuchni uwijały się dwie białe kuchareczki, gotując śniadanie.

A w sąsiednich domkach i willach okna były szczelnie jeszcze zamknięte, zasłonięte; panie i panny, zmęczone wczorajszym dancinżem i bridżem do północy, spały w dusznych pokojach. Ani świeży powiew wiatru, ani poranne promienie słońca, ani cichy plusk rzeki, ani śmiech myjących się dziewczątek, ani chóralna ich modlitwa nie dochodziła do nich; kolonja nie mąciła niczem ich wypoczynku i spokoju.

Długo stałam i przyglądałam się życiu kolonji i na myśl, że w każdej prawie miejscowości, nadającej się na letnisko, w każdej szkole jest kolonja lub obóz naszej młodzieży, doznawałam uczucia wdzięczności i dumy, że tyle tysięcy naszych dzieci spędza czas w idealnych prawie warunkach, że czerpie siły, zdrowie, radość życia z ożywczej piersi matki-przyrody.

Do tych uczuć mieszała się jakby gorzka kropla żalu, czy zazdrości: czemuż, gdy myśmy były młode, nie było takich kolonij? dlaczego nam kazano krępować się gorsetami, a widok dziewcząt leżących na grzbietach i podnoszących nogi w górę i to na otwartej łące, przy ścieżce nad rzeką, na oczach wszystkich! gwałtu! wywołałby zgorszenie niesłychane!?

To samo uczucie (zachwyty, dumy i wdzięczności dla organizatorów) towarzyszyło mi przy zwiedzaniu obozu harcerskiego. Zaproszeni serdecznie przez drużynowego, wybraliśmy się w góry. Maszerujemy dobrą godzinę od drogi, obozu jak nie widać, tak nie widać. A miało być tylko pół godzinki... prawda, że nasze harcerzyki biegają, jak młode charty, a my wlecemy się powoli. Wreszcie zdaleka widać wysoki maszt i powiewającą chorągiew, a równocześnie rozlega się głos trąbki i słyhać szelest i kroki biegnących chłopców. To był sygnał, aby copędzej zebrali się i ubrali, albowiem chodzą przez cały Boży dzień w kąpielowych strojach.

Jakoż, gdy po paru minutach dochodzimy do namiotów, już nas wita dwóch młodzieńców „w gali”. Już obok na łączce gromada „umundurowana” słucha jakiegoś wykładu...

Zwiedzamy namioty i podziwiamy szczerze.

Wszędzie łóżka, stoliki, wieszadła, półeczki, komfort! I to wszystko własnej roboty!

Łóżka (raczej tapczany), okryte kocami lub prześcieradłami, każdy namiot urządony inaczej; ten w gwiazdę, ten w trójkąt, ten w czworoboki; plecaki nad każdym łóżkiem, porządek wzorowy; przed namiotami ogródeczki, kwietniki z dzwonek, paproci, jałowcowe krzewy i kamykami okładane brzegi.

Obok masztu krąg rady drużyny, miejsce uprzywilejowane, najmiłsze; tu wieczorem pali się ognisko, śpiewają się pieśni, odbywają się gawędy, koncerty, przedstawienia, tańce, ściągając licznych gości.

W zeszłym roku (było to na pograniczu litewskim) schodził się sztab oficerski z żonami, a teraz przychodzą górale, grają z nami, śpiewają.

Zwiedziwszy namiot komendy, gościny (mają i gości!) zastęp „lisów”, „wilków” i „kurów”, główimy się, który z nich ładniejszy, wpisujemy się do księgi, a potem zwiedzamy namiot gospodarski, hm! naprawdę: mąka, krupy, cukier, fasola w workach, półcie słoniny, gar z masłem, konserwy, puszki, skrzynki i, duma gospodarza: beczka pysznych kiszonych ogórków, któremi nas częstują.

Dalej, pod daszkiem długa, z kamieni zbudowana, kuchnia polowa, przy niej kucharz i dwóch kuchcików (ci, ufni w wielkość swych fartuchów, nie zdążyli się umundurować i czekoladowe plecy ukazują się ciemnym pasemkiem z bieli fartucha). Przy jednym ognisku gotuje się zupa (krupnik), przy drugim ryż na mleku, przy trzecim, na olbrzymiej patelni, skwierczy słonina, pokrajana w olbrzymie kostki. Ziemiaki i bite kotlety cielece czekają swej kolei, a dwie kaczki poważnie i odważnie kręcą się w pobliżu. Kucharz z dumą je pokazuje:

— Prawda, jakie tłuste!?

(Pasio je na jakąś „galę”, ale jak obdzielili niemi tych osiemnastu chłopaków?)

Obok stół z desek i ławki: to jadalnia.

— A jakże w deszcz?

— Siedzimy w namiotach, i każdy zastęp prowadzi swą zwykłą pracę i zabawy. Po obiedzie zawsze jest godzina wypoczynku i milczenia.

— A nie zimno wam?

— Przeciwnie, nieraz za gorąco nawet, choć zawsze w nocy mamy płótna uchylone, aby nie było duszno.

W powrotnej drodze snują się refleksje:

... Wiem, z jakimi trudnościami finansowymi walczy każdy obóz i kolonja i tylko wysiłkiem nadzwyczajnym gromadki ludzi dobrej woli każda kolonja zawdzięcza swój byt... Gdybyż w każdym zakładzie naukowym wszyscy rodzice zainteresowali się kolonją!... Gdybyż nie tylko biedna młodzież, która znížonej opłaty nie może uiścić, ale i zamożniejsza za pewną opłatą (nie przekraczającą nigdy tego, co nas samych kosztuje utrzymanie) brała w nich udział... O, wtedy każda szkoła miałaby swój własny, wyposażony we wszystkie potrzebne rzeczy, dom czy osiedle; wtedy każdy obóz miałby swe własne namioty i potrzebne fundusze; wtedy nasze dzieci, wszystkie bez wyjątku, spędzałyby uroczy miesiąc na prawdziwych wywczasach, czerpiąc zdrowie na cały rok.

Niech będą obozy i kolonje, a wtedy zbyteczne staną się szpitale i sanatorja!

M. Mossoczowa — Kraków

Jak postąpić?

Niejednokrotnie czytałam w „Bluszczu” o różnych tragedjach kobiecych. Ja obecnie także przechodzę tragedję życiową. Od wczesnych lat mojej młodości przez całe życie byłam biuralistką, mówiąc nawiasem, uważaną za zdolną i pożyteczną, ogólnie

cenioną. Tak zeszło mi wiele lat, i obecnie, mając lat 42, wskutek rozmaitych przeżyć, znalazłam się bez pracy. Kryzys ekonomiczny, liczne bankructwa, wielka liczba bezrobotnych pracowników umysłowych, dużą grają w tem rolę. Jednakowoż ważne również jest to, że w biurach pożądane są siły *młodsze*.

Czytałam w książce Marji Grossek-Koryckiej, że najlepszą siłą roboczą w biurze może być właśnie kobieta w moim wieku. I to jest prawda: trudno mi jednak przekonywać ogół o tej prawdzie, lub odsyłać kogo do znanej mi książki. Fakt pozostaje faktem niezbitym: *chęć młodych!*

A co ja mam zrobić obecnie, jak zapewnić byt sobie i swojej córeczce 9-letniej, będąc wdową, bez żadnych środków do życia, bo to, co zarabiam, zawsze wszystko wydawałam (nie było to wiele, wiadomo). Kobiety zatem nie powinny uważać swej pracy biurowej, jako *fach*. To właśnie byłoby pożądane poruszać często na łamach pism, zwłaszcza kobiecych. Ja osobiście w tę pułapkę wpadłam, ale lepiej, żeby takie wypadki jaknajmniej się powtarzały, bo to bardzo smutna dola kobiety, co „zęby zjadła” na pracy biurowej, a wkońcu znajduje się „bez posady”! To uzależnienie swego bytu od osób drugich, od pracodawców, jest bardzo niepraktyczne.

Ale przechodzę teraz do sprawy własnej, bo chcę bardzo gorąco prosić o radę. Widząc, że jeżeli czegoś nie zrobię, zginę wraz z dzieckiem niechybnie, wykorzystywałam parę miesięcy mego bezrobocia na naukę kroju, otrzymałam świadectwo, następnie udało mi się uzyskać pozwolenie na pracownię sukien „kartę rzemieślniczą”. A teraz stanęłam na martwym punkcie i nie mogę się zdecydować na realne kroki, w kierunku otwarcia pracowni. Gotówki nie posiadam. A według mego zdania, jeżeli nie urządzę przyzwoicie pokoiku do przyjęć klientek, nie przyjdzie do mnie lepsza klientela. Ceny za szycie w Toruniu są bardzo niskie, zapewne wskutek wielkiej konkurencji, wahają się od 5 zł. do 30 zł. za suknię, 40 zł. płaszcz; za ubrania dziecinne i bieliznę śmiesznie niskie ceny. Będąc mało wprawna, przy niezamożnej klienteli, jeżeli nawet szyć będę dniami i nocami, nie zarobię na utrzymanie. Jestem wprost zrozpaczona i bezradna.

Może znajdą Panie dla mnie jaką radę? Jak urządzić pracownię i czem zdobyć klientelę? Czy może wprowadzić jakąś nowość, tu w Toruniu nieznaną, a w Warszawie będącą w modzie? Ja doskonale rozumiem, że niejasno się wyrażam, że jest to z mojej strony szukanie drogi poomacku; lecz tłumaczę się, że wprost lęk mnie ogarnia postawić nogę na tym obcym gruncie, który odtąd ma się stać jedyną deską mego ratunku. A ratunek ten może być rzeczywisty, bo w Toruniu wszyscy narzekają na brak dobrych pracowni, na brak gustu, na niesolidne szycie, niepunktualność i t. d. Wiele pań eleganckich ubiera się w Warszawie. Mieszkanie mam niezłe, w razie czego możnaby je zmienić na lepsze. Najgorsza rzecz, to brak gotówki i odwagi do przedzierzgnięcia się z biuralistki w krawcową.

Nadmienię jeszcze, że ongi miałam wybitne zdolności rysunkowe, co mi w krawiectwie niesie ogromną pomoc. Może w tej przełomowej chwili która z pań da mi dobrą radę. Będę za nią bardzo wdzięczna.

Irena W. — Toruń

„Pod pręgierz”

Pragnę zabrać głos w sprawie obecnie żywo omawianej w „Naszej Mównicy”. Oto prawie codziennie notują dzienniki wypadki dzieciobójstwa z uzu-

pełnieniem, że wyrodna matka jest mniej lub więcej energicznie poszukiwana. W perspektywie możemy sobie dośpiwać, że ta lub owa matka została wysłędzona, osądzona i ukarana. Sprawiedliwości współczesnej stało się zadość! Czyżby? A ojciec?

Weźmy takie porównanie: Zbrodnię popełniło dwoje ludzi, powiedzmy, on i ona; on rabuje, ona staje na straży, sprawa przed sądem: czy sprawiedliwość zadowolony się ukaraniem jednej osoby, a drugą pozostawi w spokoju? Nie: za spełnioną zbrodnię, odpowiadają wszyscy współwinni.

A czy ów ojciec nie jest współwinnym, a czasem głównym (może moralnym) sprawcą dzieciobójstwa?

Społeczeństwo winno wymagać, by w ustawodawstwie, w odnośnym artykule kodeksu karnego, przewidziano pociągnięcie do odpowiedzialności także i współnika wyżej omawianej zbrodni.

Ja osobiście jestem moralnie pewna, że gdyby taki pan jeden i drugi (często i ze sfer „towarzyskich”) stanął przed majestatem sprawiedliwości, a czasem wobec publiczności i był zmuszony wytłumaczyć się ze swego postępowania, to byłby on przykładem odstrasającym dla innych.

Na ten mój powyższy projekt powie nie jedna z Pań: gwałtu! co tej niewieście w głowie się mieści! Ileż to małżeństw, dotychczas pozornie przykładnych, rozleciałoby się, ileż to byłoby skandali, ileż to nocw nieprzespanych i leż wylanych przez matki, za swych synów, uwodzicieli dziewcząt!

Sądzę, że jeśli pragniemy mieć zdrowych moralnie mężów i synów, starajmy się o ukaranie ich w razie niecnego postępowania. Powie może nie jedna z Pań, że ja sama zapewne jestem taką ofiarą życia; dlatego też pozwolę sobie uprzedzić, że los milej tej emocji mi poskąpił, jednak patrzę i ubolewam, obserwując zmagania się z losem takich pożałowania godnych jego ofiar. Nie. Żle się wyrażam: raczej ofiar własnego niedołęstwa.

Pozwolę sobie w przyszłości obszerniej tę kwestję rozwinąć, czekam jednak, jak się będą zapatrywały na moje projekty inne panie. W. z Podola.

Nasza ankieta gospodarcza.

1. Drobnie sprawunki robi mąż, służąca; gros zakupów ja sama.
2. Kupuję przygodnie, lub z ogłoszeń.
3. Nie mogę odpowiedzieć stanowczo, czy dostrzegam wyraźną różnicę między krajowymi a zagranicznymi towarami.
4. W Królewskiej Hucie brak bardzo wielu towarów i przedmiotów codziennego użytku, które znajdują się w innych miejscowościach kraju.
5. W razie dostrzeżonych wad i braków, nie reklamuję, gdyż uważam, że jest to wynikiem niesumienności firmy i takiej firmy unikam.
6. Nasze kupiectwo nie bardzo liczy się z wymaganiami swych klientów.
7. Ogłoszenia czytam i dochodzę do przekonania, iż naogół towary są przereklamowane. Należy odnosić się z 50 proc. sceptycyzmem.
8. W „Bluszczu” chciałabym widzieć ogłoszenia z zakresu gospodarstwa domowego.